



nie dali
szansy 6



moja
pierwsza
praca 11

czasy
antyheral-
dyczne czyli
popraw się
pan, panie
S. 12

poezja
nie ocala 13



dzwonić
na trwogę 13

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

24

KONTAKTY
7 XII 80

Cena 4 zł



styl na fortach

MICHAŁ BOŁTRYK

Okolicę najlepiej widać z tarasu nowego i piętrowego domu. Więc wychodzimy na taras z gospodarzem, Waldemarem Marchelewskim. Za szosą, jak okiem sięgnąć, ciągną się pegeerowskie pola. Teren mocno pofalowany. Wśród pól częste akcenty drzew. Po drugiej stronie szosy widok na dolinkę, zamkniętą — wzniesionymi po traktacie wiedeńskim — umocnieniami, kiedy to Łomża stała się miastem-twierdzą, pełną fortów, koszar i budynków sztabowych. W dolinie swoisty mikroklimat.

— Zimne wiatry wieją górą — tłumaczy gospodarz.

na wzniesionych skrzydłach

O egzekwowaniu umowy społecznej, rządzących i rządzonych oraz nieufności społeczeństwa z dr. Wojciechem Lamentowiczem rozmawia Lech Gizelbach.

LECH GIZELBACH: — Umowa, jako akt prawny, jest jedną z najstarszych i najlepiej rozwiniętych części prawodawstwa. Nawiązaniem do tej tradycji cywilno-prawnej są sierpniowe porozumienia zawarte między rządem a strajkującymi robotnikami. Stały się one początkiem nowego doświadczenia ustrojowego. Jak pan to ocenia w dalszej perspektywie?

WOJCIECH LAMENTOWICZ: — Po raz pierwszy, na tak szeroką skalę została zawarta między znaczącą grupą obywateli a ośrodkiem decyzyjnym umowa inicjująca reformę polityczną. W miejsce jednostronnego działania kierownictwa partii i rządu mamy porozumienie negocjujących ze sobą stron. Już to jest polityczna nowość, stwarzająca przydatny na przyszłość model rozwiązywania spornych kwestii społecznych. Nowe są także treści umowy. Od tego czasu kształtowanie polityki społecznej na trwałe może być związane z zawieraniem społecznych umów będących wzajemnym zobowiązaniem stron.

L.G.: — Na ile umowa społeczna jest czymś wiążącym i jaki jest jej status prawny?

W.L.: — Umowa jest źródłem prawa i obowiązków obydwu stron. Już umowa gdańska zawiera zobowiązanie do inicjowania ustawodawstwa. Nowatorstwo jej wyraża się między innymi w tym, że jest politycznym źródłem prawa. Niewystarczające są więc konstrukcje cywilno-prawne. To uzasadnia polityczną, na najwyższym szczeblu przeprowadzoną, regulację w zakresie zawierania podobnych umów.

L.G.: — Dopiero wówczas można by stosować ją powszechnie?

W.L.: — Stosowanie trybu umowy może być bardzo szerokie, także podczas ustabilizowanej sytuacji. Np. w procesie planowania gospodarczego. Realnym jest oparcie się na całej sieci umów zawieranych między przedsiębiorstwami (w sprawach kooperacyjnych) oraz pracownikami z jednej strony (zobowiązanie do respektowania norm pracy) a przedsiębiorstwami z drugiej strony (zobowiązującymi się przestrzeganie określonych zasad wynagradzania, awansów itp.). Zbiór takich umów mógłby być znakomitą uzupełnieniem myśli planistycznej, dającym dodatkową gwarancję realizacji planów. Korzyści przewiduje jeszcze większe, bowiem tak rozumiana umowa ma szansę stania się metodą społecznego uczestnictwa w tworzeniu planu. Szerokie rzesze pracowników podpisujących umowę zyskałyby realny wpływ na plan. Ale to wymaga zmiany całej procedury tworzenia

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5



AKTUALNA SYTUACJA społeczna, polityczna i gospodarcza w kraju i województwie była tematem spotkania łomżyńskiego aktywu robotniczego z Sekretariatem KW PZPR. Oto niektóre fragmenty wystąpień uczestników narady. **TERESA KAZIMIERCZUK** (sekretarz KW): „W ruchu związkowym województwa dominują aktualnie ilościowo związki branżowe. Na blisko 63 tys. zatrudnionych w gospodarce społecznej NSZZ „Solidarność” zrzesza ok. 15 tys. osób, w tym 2200 członków partii (na 26 tys. w województwie). W 80 zakładach działają równolegle dwa związki”; **WŁADYŚŁAW RENCZELEWSKI** (ZPB Zambrów): „Sądzę, że dla przezwyciężenia stagnacji w działalności partii na tkalini konieczne jest przyspieszenie rozliczenia ludzi odpowiedzialnych za kryzys w kraju (jeżeli nie formalno-prawne to po linii partyjnej), demokratyczne przeprowadzenie wyborów kandydatów na IX Zjazd, anulowanie zaległych składek partyjnych i bliższe kontakty zalogi z kierownictwem partyjnym i administracyjnym”; **ALINA BORACZEWSKA** (ZPB Zambrów): „Należy zwalczać ludzi nieodpowiedzialnych. Nie powinniśmy poddawać się jednak presji, wymuszaniu. Jestem w związkach branżowych i pozostanę tam chociażbym miała być sama. Każdy powinien robić co może najlepiej. Rządzić może tylko część ludzi — nie wszyscy”; **JERZY LEONIAK** (Wysokie Mazowieckie): „Gdy Gierek przyszedł w roku 1970 powiedział, że gdy będzie odchodził to chciałby nam patrzeć prosto w oczy. Niech teraz spojrzysz! Mój ojciec mi zazdrości, że ja mam lepiej niż on. Ale ja też chcę, żeby moje dzieci miały lepiej niż ja. Zmniejszyły się składki partyjne. Czy w ten sposób uda się zatrzymać członków?”. **HENRYK KOZIKOWSKI** (PKS

Łomża) „Ludzie, którzy zawiedli powinni zostać surowo ukarani. A ludziom, którzy sprawują władzę — zaufajmy. Pilną sprawą jest lepsza organizacja pracy. Gdybyśmy mieli np. części zamienne od razu uruchomilibyśmy 12 autobusów, z których każdy kosztuje 1,5 mln zł.”; **ANTONI SZELIGOWSKI** („Cepelia” Zambrów) „Już trzy miesiące jest tej odnowy i prawie się nie zmieniło. Tylko się mówi. W zakładzie napuszcza się jednych na drugich. Ale tak jest i w rządzie. Nie idźmy rakiem do tyłu. Weźmy się za robotę”; **WALDEMAR SZPALIŃSKI** (I sekretarz KW): „Nikt w naszym województwie od samego początku nie stawiał żadnych przeszkód „Solidarności”. Jeżeli tak się zdarzyło to wbrew stanowisku kierownictwa. Działajmy przeciwko wypaczeniom i błędom a nie przeciwko socjalizmowi. Także zmieniać nasze życie na lepsze można tylko z partią a nie wbrew niej. Partia się do błędów przyczyniła i to jest jej moralne prawo do prowadzenia dzieła odnowy. Trzeba obecnie odbudowywać skuteczność działalności partii. Za nas i bez nas nikt tego nie zrobi. Uważam, że zgodnie ze stanowiskiem przytaczającej większości POP nadzwyczajny Zjazd powinien się odbyć możliwie jak najszybciej.”

EGZEKUTYWA KW PZPR w Łomży oceniła stan przygotowań do opracowania planu społeczno-gospodarczego rozwoju województwa oraz możliwości uwzględnienia w nim postulatów i wniosków zgłoszonych przez społeczeństwo. Przyszłoroczny plan określa melioracje, budownictwo inwentarskie, zaopatrzenie wsi w wodę oraz dalszą elektryfikację za główne kierunki rozwoju rolnictwa. Za bardzo istotne uznano także poprawę stanu ciepłownictwa oraz polepszenie warunków pracy służby zdrowia i oświaty, przyspieszenie budownictwa mieszkaniowego. Zapoznano się także z aktualną sytuacją w ruchu zawodowym województwa.

WOJEWODA ŁOMŻYŃSKI Jerzy Zientara na wspólnym posiedzeniu Prezydium WRN i Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego przedstawił ocenę realizacji inwestycji w województwie. Według informacji plan inwestycyjny województwa, wyno-

szący ponad 2 mld zł, wykonany został w okresie 10 miesięcy w 73 proc. Opóźnia się budowa fabryki domów w Łomży; w końcowej fazie budowy znajduje się mleczarnia w Grajewie. Natomiast gorzej jest z budową piekarni mechanicznej w Łomży. Największe opóźnienia występują na budowie masarni w Zambrowie oraz budowie stacji uzdatniania wody w Grajewie i Kolnie, kanału sanitarnego w Zambrowie i ciepłowniczego w Łomży. Zgodnie z postanowieniem Rady Ministrów wstrzymanie została budowa siedziby KW PZPR w Łomży i sali konferencyjnej Urzędu Wojewódzkiego. Sprawa ewentualnego jej wznowienia zostanie rozpatrzona przez Komisję Rządową.

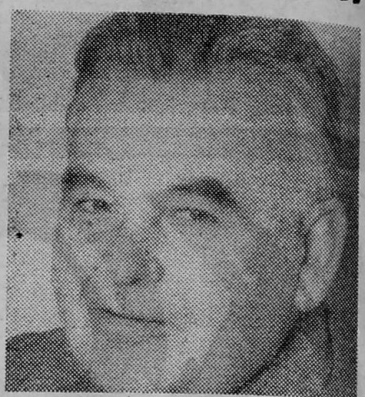
W DNIU 13.IX.1980 r. na zebraniu przedstawicieli NSZZ „Solidarność” z licznych zakładów Grajewa powołana została Rejonowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” RKK NSZZ „Solidarność” objęła swym działaniem teren byłego powiatu grajewskiego i gminy Trzecie Góry. RKK zrzesza już 24 głądy z 2,5 tysiącami członków. Naczelnik Urzędu Miasta i Gminy przydzielił na potrzeby „Solidarności” lokal z telefonem. Siedziba RKK został budynek starej przychodni ZOZ w Grajewie przy ul. Kolejowej 8 (tel. 27-31).

24.IX.1980 r. w sali konferencyjnej Zakładów Płyt Wiórowych w Grajewie odbyło się spotkanie zalogi z przedstawicielami Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” i MKZ Białostok. Obecni byli przedstawiciele „Solidarności” z innych zakładów.

W BIEŻĄCYM roku wyraziło chęć studiowania w uczelniach wojskowych 148 absolwentów z województwa łomżyńskiego, do egzaminu przystąpiło 83, dostało się 45. Najwięcej absolwentów do uczelni wojskowych przyjęto z Liceum Ogólnokształcącego w Goniądzu, Zambrowie i Wysokim Mazowieckim, z Zespołu Szkół Rolniczych w Nieckowie i Krzyżewie oraz z Zespołu Szkół Zawodowych.

W ŁOMŻY po długich cierpieniach zmarł w wieku 82 lat biskup Aleksander Mościcki, sufragan diecezji łomżyńskiej, były więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

dwa tyki ekonomiki



sobotnie dylematy

Za kilka tygodni, od początku stycznia, obowiązywać będzie w Polsce pięciodobowy tydzień pracy. Tym samym, co prawda z opóźnieniem, zastosujemy ten tryb pracy, jaki obowiązuje już w zdecydowanej większości krajów europejskich.

Koncepcja nie jest zakończona, dyskusja trwa, zgłoszonych jest wiele uwag, postulatów. Zastrzeżenia społeczeństwa wobec projektu rządowego podzieliła komisja sejmowa, co spowodowało konieczność dopracowania projektu i przedłużenia nad nim czasu dyskusji.

Jego opracowanie nie było sprawą łatwą. Chociażby tylko z uwagi na różne systemy pracy obowiązujące do tej pory — np. czterobrygadową w hutnictwie, wielozmianową, ruch ciągły, sześć siedmiodobowych dniówek dla pracowników urzędów centralnych czy instytutów.

Przypomnę, że najwięcej sprzeciwów w projekcie wywołały sprawy przedłużenia o pół godziny dnia pracy, skrócenie wymiaru urlopów, nieuwzględnienie wolnych sobót w tygodniach, w których wypada święto. Zapewne rzeczowa dyskusja przyniesie w tych kwestiach rozsądny kompromis. Mnie natomiast zaniepokoił inny, kontrowersyjny jak się okazało, punkt projektu: praca handlu i usług w dni wolne od pracy. Być może moje poglądy nie będą popularne, ale jestem głęboko przekonany, że nie może być takiej sytuacji, w której jakiś określony dzień jest powszechnie święteczny — nikt nie pracuje.

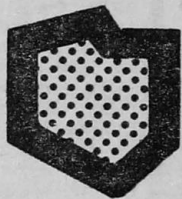
Są zawody z natury swej usługowe, zapewniające normalny rytm życia cywilizowanego społeczeństwa. Nie może zaprzestać, ani na chwilę, pracy energetyka, nie wyobrażam sobie dnia bez komunikacji, pracować muszą bez przerwy służby zabezpieczające ład, porządek, bezpieczeństwo życia, mienia, zdrowia. To tylko wyrywkowe przykłady.

A co z handlem i usługami? O-tóż uważam, że handel spożywczy i część usług nie może złożyć kłódka na sklepy i punkty usługowe w wolne soboty. Nie postuluję, aby sprzedawcy pracowali dłużej — im też należy się pięciodobowy tydzień pracy, ale nie za cenę uniemożliwienia kupna w sobotę chleba czy mleka, niemożliwości odwiedzenia fryzjera, wstąpienia na kawę czy ciastko do kawiarni, zrobienia zdjęcia u fotografa itp.

Doświadczenia innych krajów uczą, że handel artykułami podstawowymi i sieć wybranych usług muszą funkcjonować w dodatkowe dni wolne od pracy. Rozwiązanie jest wiele. Od zatrudnienia odpowiednio większego personelu do przyznania wolnych dni w pozasobotnim terminie. Widziałem np. w Czechosłowacji bary i restauracje nieczynne w jakiś dzień tygodnia. W jednych jest to środa albo piątek, w drugich — niedziela czy poniedziałek. I przyzwyczajono się do tego.

Uważam, że zawód powinno się wybierać. Jeżeli ktoś zdecydował się pracować w takim dziale usługowym jak handel musi liczyć się z faktem, że będzie pracował w różnych dniach i godzinach. Innego wyjścia nie widzę, z góry przepraszając ewentualnych oponentów.

JERZY BIELECKI



PODZAS DWUDNIOWYCH obrad VII Plenum KC PZPR referat Biura Politycznego wygłosił Stanisław Kania, w którym m.in. stwierdził, że „W chwili obecnej stosunek do sprawy wyjścia z kryzysu i stabilizacji jest głównym kryterium poczucia odpowiedzialności za spokój i bezpieczeństwo Polski. A spokój ten, będąc jednym z podstawowych warunków pomyślnego przebiegu procesu odnowy, jest wciąż poważnie zagrożony”. (Szerszą relację z obrad Plenum zamieścimy w numerze następnym).

PROJEKT RZĄDOWY sprzedawcy mięsa, jego przetworów i tłuszczów zwierzęcych w systemie kartkowym przewiduje: dla pracowników fizycznych — 4 kg mięsa i przetworów mięsnych miesięcznie (górnicy — 5 kg) oraz 10 kg tłuszczów zwierzęcych rocznie, pozostali pracownicy i ich rodziny — 3 kg mięsa i jego przetworów oraz 8 kg tłuszczów zwierzęcych, rolnicy — 1,5 kg mięsa miesięcznie i 3 kg tłuszczów. Przewiduje się, że rolnicy będą mogli sprzedawać nadwyżki mięsa (po wywiązaniu się z kontraktacji) po cenach wolnorynkowych.

W PRZEDSTAWIONYM przez zespół I (d/s struktur organizacyjnych) projekcie reformy gospodarczej przewiduje się m.in. możliwość likwidacji przedsiębiorstwa na skutek szkodliwości społecznej (np. stałe zatrudnianie środowiska) lub niewypłacalności, likwidację zjednoczeń jako formy zrzeszenia utrwalającej szkodliwą zjawiska rynku producenta oraz ograniczenie liczby ministerstw od 1 do 3.

PROF. RYSZARD MANTEUFFE mówiąc o pracach podkomisji rolnej jednej z jedenastu zajmujących się

sprawami reorganizacji gospodarki stwierdził („Słowo Powszechne”), że „uczestniczący w niej eksperci doszli do rzeczy ponurych. Są tam w większości ci sami ludzie, którzy do tego doprowadzili. Na razie skutkiem obrad jest wstępne zaakceptowanie dotychczasowego systemu organizacyjnego i finansowego w PGR-ach zwiększono jedynie kwotę dotacji i właściwie wszystko pozostało to samo. [...] Wśród 300 ekspertów powołanych do opracowania założeń reformy gospodarczej jest dotychczas tylko jeden autentyczny rolnik”.

Z WYSTĄPIENIA Przewodniczącego Komisji Porozumiewawczej branżowego ruchu zawodowego Albina Szyszki na zjeździe przedstawicieli związków branżowych: „Czy każdemu przełomowi w naszym kraju musi nieuchronnie towarzyszyć skazywanie na przegrana, na przekreślenie z kretesem tysięcy uczciwych ludzi, łamanie wiary w wartość zaangażowania i poświęcenia, w sens pracy społecznej? To, co się stało jest winą socjalizmu instruktorskiego, a nie działaczy związkowych”.

STANISŁAW KANIA na spotkaniu z przedstawicielami branżowych związków zawodowych powiedział: „Przejawy anarchii, rozkładania gospodarki, nagonki na ludzi też nas niepokoją. Niepokoi nas także manipulowanie narzędziem strajku zwłaszcza tam, gdzie, jak na kolei strajki godzą w normalny rytm życia w kraju i nasze zobowiązania sojusznikom”.

AGENCJA TASS podała, że strajk kolejowy w Polsce (do jakiego doszło w minionym tygodniu) „może godzić w interesy narodowe i interesy obronności kraju, a także naruszyć tranzytowe połączenia kolejowe przez terytorium Polski”.

PO ZŁOŻENIU PORECZENIA społecznego przez prezesa SDP zostali wypuszczeni na wolność Jan Narożniak i Piotr Sapelo, zatrzymani w związku z ujawnieniem wiadomości stanowiącej tajemnicę państwową. Przewodniczącą NSZZ „Solidarność” — Region Mazowsze w

złożonym oświadczeniu stwierdził, że „z fragmentów dokumentu Prokuratury Generalnej wynika, że jej odpowiedzialni funkcjonariusze sugerują, iż istnienie niezależnego samorządowego ruchu związkowego jest sprzeczne z podstawami ideologii ustroju socjalistycznego. Stwarza to zagrożenie dla istnienia i działalności ruchu związkowego”.

W ZAKŁADACH FSO w Warszawie dokonano aktu sabotażu uderzeniowego automatycznej linii montażu nadwozi „Poloneza”. Przewadzi się śledztwo w celu wykrycia sprawców tego czynu.

BOLESŁAW MISZULOWICZ w artykule „Enigma kryzysu mięsnego” („Życie i Nowoczesność”) stwierdza: „Statystyczny Polak w 1979 roku zjadł tyle mięsa co Anglik (71 kg/rok/osobę), więcej niż Holender. To znaczy, że nie brak u nas mięsa, ale nad miarę się obżeramy. [...] A jeżeli mięso istnieje tylko na papierze, w rocznikach GUS, a w swej postaci fizycznej w jakiś zagadkowy sposób zginęło, to czy słuszna jest polityka handlowa ANIMEX-u, który w roku 1979 wyeksportował najlepsze gatunki mięsa po bardzo niskiej cenie, a w roku 1980 domaga się usilnie powiększenia wywozu mięsa z Polski? [...] Polityka i operacje naszym mięsem muszą być jawne; kraj trzęsie się od plotek, które być może wywołuje tylko rocznik statystyczny, podczas gdy chodzi zapewne tylko o nazbyt mądra politykę w ciągu minionego dziesięciolecia. Częścią tej polityki była tajemność wszelkich danych — także przed władzami kraju”.

„POLITYKA” ZAMIEŚCIŁA dwie rozmowy z członkami byłego zespołu doradców naukowych I sekretarza KC PZPR. Prof. Antoni Rajkiewicz: „W ostatniej rozmowie Edward Gierek wyraził ubolewanie, że niestety sporo naszych rad nie zostało uwzględnionych. Na przykład nie chciał słyszeć o zmianie premiera, a doradzaliśmy to od początku”. Prof. Paweł Bożyk: „Wydałem mi się, że Gierek w ogóle unikał decyzji. Chciał znać prawdę, ale nie chciał, czy nie miał używać jej jako oręża politycznego”.

kontakty kontaktów

Odbudowa zaufania do władzy, to przede wszystkim odbudowa zaufania do ludzi sprawujących władzę. Nadeszła chwila odnowy i rozrachunku z własną przeszłością, dlatego też należy zastanowić się, czy potrafimy realnie patrzeć na wszystko, co mieści się w modelu odnowy, czy potrafimy pozbyć się autokratyzmu, rutyniarstwa, demagogii. Najważniejsza w obecnej chwili wydaje się zmiana metod postępowania. Jako nauczyciel uwagi te kieruje głównie pod adresem władz oświatowych. Prowadziłem i prowadzę z moimi uczniami tzw. „godziny szczerości”, i proponowałbym, aby władze oświatowe chociaż raz w roku zorganizowały taką „godzinę szczerości” spotykając się z nauczycielami. Takie bliższe kontakty na pewno nie zaszkodzą, a nawet będą przyczyną zdrowienia sytuacji w oświacie. Nie jest bowiem dobrą metodą pracy ograniczanie się do powielania pism Ministerstwa Oświaty i Wychowania i rozsyłania ich do podległych placówek oświatowych.

(nazwisko do wiadomości redakcji)

*

Po przeczytaniu artykułu red. Wawrzyńca Kłosińskiego „Pozostawieni sami sobie” w „Gazecie Współczesnej” i reportażu Danuty i Aleksandra Wroniszewskich „Grube ryby i węgore” w „Kontaktach” wstąpiła we mnie nadzieja, że może i do nas dotrze odnowa, że może wreszcie ludzie odetchną pełną piersią, zaczną myśleć swobodnie i piętnować zło, zakłamanie, cwaniactwo, kumoterstwo oraz tak ponętne łapownictwo i nadużywanie władzy. Możliwe wreszcie książka rajrodzicy zrozumieją swoje błędy.

Stały czytelnik z Rajgródu

*

Za Waszym pośrednictwem chciałbym zwrócić się do władz Łomży w dwóch palących sprawach, których jak dotąd chyba nikt kompetentny nie zauważył. Od dawna z szamba internatu szkół budowlanych ulica Zjazd spływają cuchnące nieczystości. Latem jadące pod górę samochody ochlapują tym przechodniów. Teraz, coraz częściej zamrażająca struga zagraża bezpieczeństwu ruchu drogowego. Druga sprawa — to nieprecyzyjne oznakowanie jedynej w Łomży skrzyżowania z sygnalizacją świetlną. Jadąc ulicą Świerczewskiego nie wiadomo, na który pas ruchu należy wjechać, a mandaty się płaci.

(nazwisko do wiadomości redakcji)

*

Mieszkam w mieszkaniu rotacyjnym, którego dysponentem są ZZPB w Zambrowie. Od roku nie mogę spowodować opuszczenia przez sąsiadkę piwnicy należącej do mojego lokalu. Zaproponowano mi natomiast piwnicę w II lub IV klatce, podczas gdy ja mieszkam w I. Mieszkanie ogrzewane jest piecami i węgiel trzeba nosić z piwnicy. Czy rzeczywiście wymagam zbyt wiele, chcąc mieć piwnicę w swojej klatce?

JERZY JASKÓW
Zambrów

*

Chcę w swym liście nawiązać do artykułu dotyczącego porwania młodych łomżyńskich koszykarek do Białegostoku. Cieszę się ogromnie, że wszystko zostało tam powiedziane bardzo odważnie i łomżyńscy mogli dowiedzieć się prawdy o tej sprawie. Uważam jednak, że niesłusznie został tam usunięty nieco w cień trener koszykarek, Zygmunt Dytkowski. A zasługuje on na szczególną uwagę i nie można przejść obojętnie obok tego, co zrobił on dla łomżyńskiego sportu. Zaczynając prawie od zera, doprowadził grające w „kosza” dziewczęta do takiego poziomu, że zaczynało się już mówić o ewentualnym awansie do II

CIĄG DALSZY NA STR. 8

KONKURS „KONTAKTÓW”

pamiętnik nastolatka

Nasz konkurs „Pamiętnik nastolatka” trwa! Jego założenia regulaminowe opublikowały najpopularniejsze pisma w kraju, dzięki czemu otrzymaliśmy już ponad dwadzieścia prac z różnych stron Polski. Nie ma wśród nich ani jednej z łomżyńskiego, a przecież trudno uwierzyć, aby młodzież była obojętna na otoczenie i bezrefleksyjna. Zatem szczególnie gorąco zapraszamy nastolatków województwa do udziału w konkursie. Najciekawsze prace będą publikowane przed ogłoszeniem wyników. Na str. 11 — już pierwsza z nich!

KONKURS „KONTAKTÓW”

Kazimierz i Mieczysława Konertowie wraz z matką Wiktoria i trojgiem dzieci mieszkają w obszernym domu we wsi Pniewo. Jednak wzrok przechodzących bardziej przyciąga nowowynbudowana obora.

Kazimierz Konert: — Mielśmy pracować we trzy rodziny, taka mini-spółdzielnia, ale jakoś nam ta spółka nie wyszła.

Babcia: — Jedna synowa się odłącza, chce do miasta do roboty.

Mieczysława Konert: — Nikogo na siłę trzymać nie będziemy. Zdecydowaliśmy się sami to wszystko wydzwignąć. Zawsze można ludzi nająć do pracy.

Babcia: — Tak, tak, poradzicie. Starczy tych spółek. Tylko z tego nerwy. Micia też ze wsi pochodzi, na robocie się zna. Dadzą radę we dwójkę. Na pewno.

K.K.: — Oho, widziacie ich! Trzeba było słyszeć, jak protestowali przeciwko tej oborze.

M.K.: — To prawda. Obie z mamą, w dzień i w nocy życie mu zastruwałyśmy, żeby się rozmyślił. Kłopotów w domu dużo, dochodu żadnego a ludzie we wsi też mówili, że trzeba być wariatem, żeby teraz hodowlę rozwijać. Inni nie

wierzyli to i my zwątpiliśmy, ale mąż się uparł. Teraz myślę, że miał rację.

K.K.: — O rację ja się nie boję, raczej o kredyty. Chciałem wziąć milion, dali tylko 900 tysięcy.

M.K.: — Nie trzeba było tak się spieszyć. W jednej pięciolatce troje dzieci i obora.

K.K.: — Ale niedługo zaczną się dochody...

M.K.: — I spłacanie długów.

K.K.: — Dwa lata — góra. Nawet jeśli będziemy trzymać tylko dwadzieścia pięć jałówek hodowlanych to i tak dobrze na tym wyjdziemy. Założmy, że rocznie sprzedamy dzieśnię odhodowanych byczków, średnio licząc po 45 tysięcy za jednego, to już mamy 450 tysięcy. I 60—70 tysięcy miesięcznie za mleko to też niezły pieniądz. Rolnictwo musi być opłacalne. I jest. Byłoby bardziej, gdyby państwo zawsze nas odpowiednio wspomagało. Najwięcej tej pomocy było na papierze i nie ma

co się dziwić, że wielu całkiem się zniechęciło. O wszystkim trzeba się dopominać, z garściami pełnymi kwitów jeździć do urzędów.

M.K.: — I z kwitem cię odprawia. Opowiedz, jak ci nasz SKR pomagał kukurydzę zbierać.

K.K.: — Ech, to historia do filmu a nie do gazety. Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego w Szepietowie umówił się ze mną, że ja z siebie kukurydzą a oni potem zrobią mi za darmo pokazowe koszenie. Z SKR-u mieli przyjechać 3 października, ale pojawili się dopiero siódmego. Skosili pięć przyczep i już się im maszyna zepsuła. Nowa, na gwarancji. Jak coś naprawili to inna część się zepsuła. Potem przyszły deszcze, nie mogli wjechać na pole. Powiedzieli, że pojedą do Kotów, a tam jeszcze gorzej zamokło — to nigdzie w końcu nie robili.

M.K.: — Mąż mój w końcu Dety na własny koszt sprowadził. Nie skorzstali, bo okazało się, że i bez nich można było wejść na pole. Gdyby się na nich nie oglądał to wyszłoby szybciej, taniej i bez nerwów.

K.K.: — Miał to być darmowa pokazówka, a w końcu kosztowało mnie to 15 tysięcy 840 złotych. I tak dobrze, że mi skosili. Zwlekali trzy tygodnie, aż nacelnik interweniował, a dyrektor Jasiński z SKR-u sam w wolną sobotę na traktor wsiadł, bo traktorzyści odpoczywali.

M.K.: — Wiadomo, że jak kukurydza jest mała to niedobrze, bo zły zbiór. Ale okazuje się, że jak duża to też źle, bo maszyna niedostosowana, zapycha się. Dziwne te eskawerskie maszyny.

K.K.: — Marnie z usługami a i z przydziałami węgla i pasz też nie jest lepiej. Ludzie wyprzedają bydło i świniaki, bo nie wierzą w pomoc państwa.

Babcia: — Ludzie świniaki sprzedają, a ty będziesz trzymać.

K.K.: — Te cztery sztuki dla siebie będę trzymał, ale nie tyle, co dawniej.

Babcia: — Dziesięć będziesz chował.

K.K.: — Tyle będzie co od jednej maciory. Inni dobytka się wyzbywają, bo ziemniaki po 600 złotych, zboże po 800—900 złotych na rynku, pasze drogie, siana nie ma. Gdyby nie zalane łąki od 23 lipca, wyszedłbym bardzo dobrze. Te dwadzieścia pięć krów jednak przetrzymam. Inni uszczuplają do dwóch, ja obliczyłem, że mnie to się nie opłaci. Sprzedam teraz pięć tysięcy taniej, potem z rynku nie odkupię, bo muszę mieć hodowlę pod kontrolą. Zresztą, na wiosnę każdy będzie musiał przepłacać.

DANALEK
Fot. GABOR LÖRINCZY



co u państwa słychać?



na wzniesionych skrzydłach

planu, montowanego obecnie w kilkunastu gabinetach na szczeblu centralnym. Zerwanie z tą praktyką czyniłoby z planowania dzieło społeczne. A więc pewien ideał: realizatorami są sami planiści. Dzisiejsze preadministrowane, odgórne i zbiurokratyzowane planowanie, nie spełnia w najmniejszym stopniu swej roli.

L.G.: — W jaki sposób egzekwować tak pojmowaną umowę społeczną? Kto i przez kogo ma być pociągany do odpowiedzialności za niewywiązanie się ze zobowiązań?

W.L.: — To rzeczywiście trudny problem. Powszechne sądownictwo wydaje się być niewystarczające, bowiem zakres tych umów miałby charakter ustrojowy. Być może zaizolacja potrzeba wyodrębnienia części Sądu Najwyższego i powierzenia mu roli interpretatora samych umów oraz ewentualnego rozstrzygnięcia powstających sporów prawnych. Mogą powstawać także spory o fakty: kto i na ile wywiązuje się z umowy? W podobnych przypadkach będą potrzebne rozstrzygnięcia o charakterze pozaprawnym. Warto więc zagwarantować możliwość powoływania arbitrażu rozstrzygającego i ten rodzaj sporów. Już w umowach musi znaleźć się odpowiednia klauzula. Forma umowy jest, na tyle elastyczna, że pozwala na zawarcie w niej samej sformułowań, mówiących o sposobach egzekwowania wzajemnie podjętych zobowiązań.

L.G.: — Umowa ukróciłaby skłonności do stosowania prawa administracyjnego oraz mnożenia przepisów i dyrektyw przekraczających granice zdrowego rozsądku, często niczego nie rozwiązujących.

W.L.: — Zwalazcza, gdy nie stwarza się jednocześnie warunków motywacyjnych i materialnych do ich realizacji. Wtedy faktycznie dyrektywy pozostają tylko zapisanym papierem. Natomiast umowa, będąca dwustronnym zobowiązaniem, zmusza do rozważenia, czy ma się materialne warunki i dostateczną motywację do jej realizacji. A złożenie podpisu ma być tego potwierdzeniem.

L.G.: — Dyrektywa zaś jest zawsze czymś bezosobowym.

W.L.: — Więcej, jest działaniem tylko jednej strony adresowanym do drugiej. Mamy ośrodek zarządzający i produkujący dyrektywy z jednej strony, a z drugiej ośrodek mający je spełniać. Przy administracyjnym kierowaniu widzimy ostry podział na rządzących i rządzonych.

L.G.: — Na podmiot i przedmiot procesu decyzyjnego...

W.L.: — W przypadku umowy obie strony stają się podmiotem. W równym stopniu zobowiązane są do jej realizacji, podobnie jak obie są współtwórcami podejmowanych decyzji. Umowa społeczna wbudowana np. w procedurę tworzenia planu byłaby drogą do znoszenia, a przynajmniej złagodzenia, przeciwieństwa: podmiot — przedmiot, rządzący — rządzeni. Znosiłaby wreszcie podział na „my” i „oni”. Co raz częściej mówimy, że nie chcemy narzucać swojego stanowiska a pragniemy wspólnego dochodzenia do uzgodnień i wspólnego ich urzeczywistniania. Partnerstwo umowy społecznej wymaga zupełnie innego niż dotychczas sposobu podejmowania decyzji we wszystkich sprawach. Przede wszystkim potrzebna jest znacznie większa otwartość struktury władzy na to, czego chcą ludzie. Nie obędzie się bez świadomości wzajemnej zależności. Ośrodek władzy musi stać się zależny od opinii i poparcia obywateli, bo obywatel zawsze jest uzależniony od decyzji ośrodka władzy. To pozwoli uzyskać większą niezależność. Brzmi to paradoksalnie, ale ludzie są faktycznie o tyle niezależni, o ile mogą na wzajem się kontrolować. Jeżeli tylko jedna strona kontroluje i nie pozostawia żadnej przestrzeni drugiej stronie, nawet do wyrażania krytycznej opinii, to traci się wszelką szansę na partnerstwo i niezależność, gdyż następuje zniewolenie strony słabszej.

L.G.: — Widzę w tym szansę głębokich zmian wszelkich struktur społeczno-politycznych i gospodarczych.

W.L.: — Droga działania poprzez umowy społeczne ma nawet sens ustrojowy. Może być częścią procesu likwidacji wyalienowanych biurokratycznych struktur. Nie tylko w systemie politycznym, ale i gospodarczym, gdzie znajduje się bardzo wiele oderwanych od interesu społecznego ośrodków kierowniczych. Umowa przypominałaby o wzajemnych zależnościach. A od zgody i poparcia drugiej strony zależałaby ich

polityczna, i nie tylko polityczna, kondycja. W tej chwili zapominają one często w czym interesie zostały powołane, zadawając się często działalnością pozorną, albo przeciwną temu, czemu miały służyć. Jeszcze w trakcie procesu decyzyjnego umowa ujawnia źródło konfliktu interesów i opór wobec projektów decyzji. A więc w samą decyzję można wbudować kompromis, pozwalający ją konsekwentnie urzeczywistnić. Zarządzanie administracyjne pozostawia rozbieżne interesy w ukryciu. Konflikty wybuchają, ale już po podjęciu decyzji. Mamy przykłady wielu planów nigdy nie zrealizowanych do końca. I wcale nie dlatego, że były złe od samego początku. Przeważnie zawierały dużo trafnych elementów, ale u podstaw ich klęski tkwił jeden zasadniczy błąd: nie były wypracowane wspólnie z tymi, których dotyczyły i brakowało im społecznego poparcia. Nie stały się wiążące, gdyż były tylko przesłane do realizacji. W tej chwili posiadamy wiele atutów pozwalających to odwrócić, zdemokratyzować nasze społeczne i gospodarcze życie.

L.G.: — Czy realizacja pierwszej, historycznej dziś umowy społecznej, nie odbywa się przez wymuszanie, a może nawet szantaż i groźbę? Mielismy już strajk ostrzegawczy. A więc życie oka-

zuje się twardsze niż stawianie prognoz grzeszących nadmiarem optymizmu. A Pan mówi tylko, co by było gdyby...

W.L.: — Umowa z Wybrzeża faktycznie została zawarta w określonym układzie sił. Ale późniejsze układy zmieniają się. I teraz, kiedy próbuje się realizować ją w miejscach, gdzie nie było walki strajkowej (przynajmniej w takiej skali) obserwujemy znaczny opór władzy. Z drugiej strony — brakuje robotnikom z terenów nie objętych strajkami umiejętności zorganizowania się w siłę, mogącą spokojnie egzekwować warunki umowy. To trzeba umieć. A do tej pory robotnikom nie dawano zbyt wiele sposobności do takiej nauki. Jednak i w tych warunkach polska klasa robotnicza potrafiła znakomicie się zorganizować. Nastąpiło, i to w ogromnej skali, odnowienie politycznej podmiotowości.

L.G.: — Będzie bronili nieco swoich wadliwości. Zapytajmy czy ten wzajemny szantaż nie jest formą trwającej nadal walki?

W.L.: — Na pewno tak. I błędem politycznym będzie ukrywanie tego. Jest wiele płaszczyzn toczącej się walki. Również w obrębie systemu partyjnego. W samej partii trwa walka między różnymi orientacjami. Partia nie jest monolitem. Są w niej ludzie będący zwolennikami

systemowych reform politycznych i gospodarczych, stanowczo broniący linii letnich porozumień, ale są i tacy, co jeszcze nie zrozumieli, że jest to nie tylko konieczność wynikająca z doraźnej sytuacji, ale i szansa na przyszłość wsparta ogromną społeczną potrzebą. Nie zrozumieli jeszcze wszyscy tego też — jak to powiedział I sekretarz KC PZPR — że demokracja jest stale rosnącą potrzebą socjalizmu. Nikt nie jest w stanie wyraźnie wytyczyć granicy wzrostu tej potrzeby.

L.G.: — Teraz szczególnie ostro widać jak wiele nazbierało się niezaspokojonych dążeń i oczekiwań w zakresie demokracji i jak wiele trzeba zrobić, by usunąć powstałe zapóźnienia.

W.L.: — Usunąć zapóźnienia, ale i przypomnieć lekcję z 56 roku. Opóźnień w demokratyzacji nie można odrobić w kilka miesięcy. Została dopiero stworzona szansa. Jeśli z tej szansy nie skorzystamy — opóźnienie się powiększy. A demokratycznych aspiracji nikt nie powstrzyma. Jeżeli struktury instytucjonalne pozostaną sztywne a aspiracje będą wciąż dynamicznie wzrastać, to może kolejny już raz dojść do ich zderzenia. Polityczne uaktywnienie ogromnych rzesz społeczeństwa odwraca nieco uwagę od zadań produkcyjnych, ale jest to cena,

O egzekwowaniu umowy społecznej, rządzących i rządzonych oraz nieufności społeczeństwa
z dr. Wojciechem Lamentowiczem rozmawia Lech Gizelbach



którą musimy zapłacić za zmarnowane szanse w przeszłości.

L.G.: — A więc nadszedł czas powrotu do zapomnianych obietnic.

W.L.: — Więcej. Musimy dodać do nich nowe elementy, bo upłynęło przecież dwadzieścia parę lat. Nie można pozostać na poziomie oczekiwań z 56 roku. Wyrosły w tym czasie nowe pokolenia. Trzeba wziąć pod uwagę to, że ci ludzie inaczej dziś rozumieją interes ojczyzny niż przed dwoma dziesiętkami lat.

L.G.: — Mamy wielu sceptyków, ludzi nie wierzących w żaden poważniejszy postęp demokracji w naszym kraju. Na ile rodzaje się wciąż sprzeczności i konflikty mogą być tu realną przeszkodą w realizacji umowy społecznej i kontynuacji zapoczątkowanych reform?

W.L.: — Konflikty świadczą o istnieniu oporu przeciwko zmianom oraz o występowaniu dążeń do zmian, nie zawsze mieszczących się w istniejących ramach ustrojowych. Wychodzenie konfliktów na powierzchnię życia oznacza też istnienie w naszym społeczeństwie zdrowych odruchów. Nieujawnianie się konfliktów nie oznacza jeszcze ich braku. Dziś jesteśmy nieco zaskoczeni tym, że było ich tak wiele. Do niedawna ludzie mówili o nich w domowym zaciszu, na korytarzach, w szeptanych rozmowach. Dopiero teraz przeniesiono te tematy na publiczne zebrania, pojawiły się one na listach postulatów. Pojawiły się wreszcie w rozmowach między rządem a różnymi grupami ludzi pracy. Ujawnianie się konfliktów jest zaletą i wielką szansą, bo można będzie je rozwiązać spokojnie i demokratycznie. Ponowne ich spychanie do podziemia byłoby największym ryzykiem całego procesu odnowy. Wymiana niezgodnych poglądów pozwala uniknąć o wiele bardziej dramatycznych kłótni.

L.G.: — Czy różnice te nie utrudniają integracji narodowej, której potrzebujemy? Czy nie stana się blokada postępu,

nie stwarza ponownie bardzo groźnych sytuacji? Taki społeczny pat, z domieszką sceptycyzmu i apatii, jest chyba czymś równie groźnym jak schodzenie konfliktów do podziemia?

W.L.: — Pańskie obawy — jak podejrzewam — wynikają z dramatycznej sytuacji naszej gospodarki. Niektórzy rzeczywiście twierdzą, że po tej klęsce możemy się podnieść tylko wtedy, kiedy każdy weźmie się za swoje: robotnik będzie wykonywał co do niego należy, dyrektor swoje, minister swoje, nauczyciel swoje. Tylko że będziemy to robić nieco lepiej niż do tej pory i wszystkim nam się poprawi. A to chyba nie tak. Gdybyśmy mogli w dotychczasowych ramach instytucjonalnych; przy dotychczasowych regułach działalności gospodarczej i politycznej wyjść z powstałego kryzysu, to przede wszystkim do obecnego dramatu by nie doszło. Teraz musimy szukać nowych mechanizmów i sposobów funkcjonowania instytucji łączących nas dla celów gospodarczych, społecznych i politycznych. Jednocześnie się przez wytwarzanie nowości, i wokół nich — a nie tylko przez krytykę albo obronę stanu istniejącego. Byłby to konserwatywny model jednoczenia się, pogłębiający jedynie trudności. Musimy się zatem integrować przez parcie do przodu, a nie zatrzymywanie tego, co postępuje. Nie jest prawdą, że wystarczy tylko być razem a będzie lepiej. Wszyscy razem możemy mieć przecież także gorzej. Z kryzysu można wyjść tylko przez postępowe kompromisy: zawieranie porozumień, projektowanie reform, społeczną debatę i uporczywe, konsekwentne wdrażanie tych reform.

L.G.: — Czy społeczny dystans do ostrożnych zapowiedzi owych niezbędnych zmian ustrojowych, niewiara w możliwość przeprowadzenia głębokiej odnowy, uważanej przez pana za niezbędną, wręcz dziejowa konieczność, nie przeszkodzi nam w tym ruchu do przodu. Czy nie-

ufność wielu osób nie jest uzasadniona?

W.L.: — Niewiara społeczeństwa i rezerwa do zapowiedzi padających z najwyższych trybun jest uzasadniona i to nie tylko przebiegiem realizacji sierpniowych porozumień. Podjęta jest także wieloletnim doświadczeniem z poprzednich okresów. Ludzie mają dziś prawo do sceptycyzmu i uważnego patrzenia sobie na ręce. Z drugiej strony — zachodzi potrzeba tworzenia w sobie, w społeczeństwie nowej wiary. Wiary we własne możliwości zreformowania stosunków społeczno-politycznych i gospodarczych, wprowadzenia zmian umożliwiających wszystkim pełną samorealizację. Zbyt rozbieżne są obecnie pojęcia interesu narodowego. Musimy wiedzieć czego chcemy dla Polski i siebie. Obecnie każdy człowiek i każda grupa na swój sposób to pojmują. Brakuje wspólnej, narodowej świadomości. To między innymi zmusza do podjęcia analizy historii najnowszej w publicystyce, i nie tylko w publicystyce. Nie możemy nadal ograniczać się do ogólnikowego mówienia o niedawnej przeszłości. Trzeba sięgnąć do konkretnych wydarzeń z minionych lat.

L.G.: — Czy brak wsparcia konkretnymi analizami zaistniałej sytuacji jest nadal powodem nieufności i niewiary, o której mówimy?

W.L.: — Trzeba nauczyć się rozumienia ostatnich trzydziestu paru lat, gdyż one ukształtowały większość żyjących dziś Polaków. Nie wszyscy to już sobie uświadomili. Nie mamy obecnie dobrych analiz tego, co działo się w czasach kryzysów przeżywanych przez nasz kraj. Nie są one do końca zrozumiałe, nie posiadamy należytej o nich wiedzy. Bardzo słusznym postulatem jest dopominanie się o powołanie specjalnych komisji usuwających w krótkim czasie istniejące luki w naszej najnowszej historii.

I to nie w postaci opasłych traktatów naukowych, po które mało kto sięgnie, ale w formie opracowań publicystycznych, mogących funkcjonować niemal od zaraz. Nie muszą one być doszlifowane do końca. Najważniejsze, aby fakty z ubiegłych dziesięcioleci stały się tematem społecznej wymiany myśli i ocen. My musimy rozumieć naszą historię najnowszą, bo tylko dzięki niej będziemy mogli zaprojektować postępowe reformy. Bez tego nasze społeczeństwo będzie światem bez historii. I w tym sensie ślepe i niezdolne do tworzenia reform na wielką miarę. A takie Polsce są najbardziej potrzebne. Jestem przekonany o głębokim patriotyzmie Polaków. Trzeba tylko ten patriotyzm angażować do społecznego postępu. Znajomość najnowszej historii własnego narodu może w tym tylko pomóc.

L.G.: — Panie doktorze, z pańskich słów wynika, że potrzeba nowości politycznych, społecznych oraz gospodarczych jest przeogromna. Jak zatem, z perspektywy minionych parunastu tygodni, ocenia pan tempo ich wprowadzania?

W.L.: — Nadal jest wiele tajemniczości wokół mnóstwa spraw. Nawet działania i wyniki komisji do spraw reformy gospodarczej są mało komu znane. I chyba jest to sprzeczne z umową społeczną i obietnicą daną w sierpniu, że będzie dyskutowało się, w ogólnonarodowej skali, powstające projekty reformy. Nie możemy przystąpić do społecznej konsultacji, gdy jej projekt będzie już gotowy, zapięty na ostatni guzik, pozostawiając społeczeństwu zaledwie kilka dni na wyrażenie opinii. To jest niepoważne, by wytwór długiej pracy zawodowych intelektualistów dawać ludziom, na co dzień nie mających nic z tym wspólnego, do oceny w ciągu kilku dni, czy godzin. Sam proces tworzenia się projektu musi być na bieżąco komunikowany i dyskutowany. Trzeba wreszcie zrozumieć, że nie można działać metodami konspiracyjnymi i znów obwieścić o wymyśleniu najlepszego lekarstwa, do którego nie można dodać ani ujać. Musimy zmienić sam sposób dochodzenia do strukturalnych zmian. Nie można starymi drogami dojść do zupełnie nowych rozwiązań. Będą one znowu przypominały stare rozwiązania i nie spotkają się ponownie z poparciem całego społeczeństwa. W tym sensie uzasadniony jest sceptycyzm, a nawet nastrój apatii. Może jesteśmy w takiej fazie, kiedy to najpierw urosły ludziom skrzydła a teraz zaczynają opadać. Jeżeli ten stan będzie trwał, to rzeczywiście skrzydła mogą opaść, ale kto wie czy się ponownie nie zacisną pięści.

L.G.: — Na ile odczuwana rozbieżność między wypowiedzianymi słowami a tym, co się już zrobiło, utrudnia przywrócenie zaufania do ośrodków zarządzających i zapowiadających reformy?

W.L.: — Zauważmy, mówimy o rozbieżności w nowych warunkach. Może bierze się ona stąd, że najintensywniej o potrzebie reform, mówią publicyści, dziennikarze, uczeni... A oni mają stosunkowo mały wpływ na istotę reformy i tempo jej realizacji. W związku z tym w społeczeństwie powstało wrażenie, że mówi się dużo o potrzebie reformy, niektórzy kreślą jej kształt, a z drugiej strony działanie ośrodków decyzyjnych jest znacznie bardziej ostrożne i powściągliwe. Jak się okazuje rozbieżność słów i czynów nie jest rozbieżnością płynącą wyłącznie z ośrodka władzy. Jest raczej rozbieżnością wynikającą z ogólnej ilości słów wypowiedzianych w publicystyce, w publicznych dyskusjach. Władze centralne są może nawet zbyt ostrożne w swych zapowiedziach. To zwleknięcie i namysł nie oznaczają, że kierunek działania rządu i kierownictwa partii oraz zachodzące zmiany społeczno-polityczne nie są zbieżne ze słowami wypowiedzianymi w imieniu rządu i kierownictwa partii.

L.G.: — Czy nie lepiej byłoby, aby ośrodki decyzyjne, w sposób bardziej jednoznaczny i szczegółowy zapowiadały, co aktualnie zamierzają robić? Czy to nie byłoby bardziej zgodne ze społeczną umową zawartą w sierpniu?

W.L.: — Moim zdaniem raczej nie należy zachęcać ośrodków władzy do składania bardzo optymistycznych deklaracji. Bo mogłyby one okazać się bez pokrycia. Pozytywniejszym zapewne będzie zrobienie kilku — może jeszcze niedużych — ale praktycznych, konkretnych kroków w kierunku pełnego porozumienia ze społeczeństwem. Bez żadnych buńczucznych deklaracji. Czyny znaczą dziś więcej niż deklaracje i głoślowe obietnice.

L.G.: — Dziękuję za rozmowę.

Fot. GABOR LÖRINCZY



Siedzący samotnie przy długim stole prezydialnym, nakrytym zielonym suknem, sekretarz Rady Zakładowej — Bolesław Burdziński — sprawiał wrażenie sternika statku, którego kurs ustalała już tylko niosąca go prąd. W dużej sali konferencyjnej Zakładów Płyt Wiórowych w Grajewie, przygotowanej na dwieście—trzysta osób, zebrało się ledwie pięćdziesiąt. Wśród nich pięciu robotników. No, może dziesięciu. Na prawie tysiącsobową załogę. Temat otwartego zebrania: sprawozdanie ze Zjazdu Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Leśników i Drzewiarzy.

Gdy fala sierpniowo-wrzesniowych strajków przetaczała się przez kraj, nie omijając Łomżyńskiego, w ZPW zwyciężyło zdanie, że postulaty załogi można zgłosić bez przerywania pracy, że nie ma takich problemów, których się nie załatwi w drodze partnerskiej dyskusji z dyrekcją. Nie było to stanowisko powszechne. W większości zakładów uznano przecież, że „gdy nie strajkujesz, nie dostaniesz”. Grajewskie płyty były więc przykładem godnym naśladownictwa — i jako przykład często je podawano. Tym bardziej, że ludzie nie tylko pracowali, ale pracowali dobrze. Dzięki ich ofiarności bardzo szybko zlikwidowano skutki pożaru jednej z linii produkcyjnych; bieżące meldunki mówią o pomyślnym wykonywaniu zadań. Sypią się pochwały w prasie i na naradach. Przesłaniają one problemy zakładowe, które przecież nie były mniejsze niż gdzie indziej i hasło „Odnowy” też ich automatycznie nie zlikwidowało. Załoga krytycznie oceniła starą Radę Zakładową, szczególnie za złą obronę interesów pracowników, jednak zmienić postanowiła tylko jej skład. Tym samym dała szansę „starym” związkom. Rozumowano, że nie wolno wylewać dziecka z kąpielą; Rada nie powinna odpowiadać za winy niezasłużone, a pretensje należy kierować pod adresem konkretnych osób. Czy tak odświeżona Rada potrafiła wykorzystać szansę, jaką jej stworzono? Czy jej członkowie sprościli zaufaniu, jakim obdarzyła ich cała załoga?

Z POZYCJI SILNIEJSZEGO

Praca w zakładzie — jak już wspominałem — toczyła się swoim normalnym, a może nawet przyspieszonym rytmem. Towarzyszące jej problemy i konflikty postanowiono rozwiązywać spokojnie, jak to się mówi — drogą urzędową. Na spotkaniach, naradach i w rozmowach zbierano postulaty pracowników. Załoga zrezygnowała ze strajku i przedstawienia tzw. listy postulatów strajkowych. Był to raczej wykaz spraw, które — w odczuciu załogi — powinny być załatwione. Zebrano ich w sumie 234. Dopominano się o dodatek za wysługę lat, o przedszkole zakładowe i lokomotywę spaliniową; podwyżkę płac, zniesienie cen komercyjnych i poprawę zaopatrzenia dwóch bufetów zakładowych; wentylację lakierni, dodatek za „szkodliwość” i poprawę w organizacji funkcjonowania przedsiębiorstwa. Długa lista, bardzo długa. W takiej ilości można się zagubić, stracić orientację — co ważne, a co marginesowe, na czym ludziom najbardziej zależy. Nie pierwszy to jednak raz zakłady i jej przedstawicielom zabrakło doświadczenia. Ilość postulatów zwykle nie jest proporcjonalna (na ogół wręcz odwrotnie) do skuteczności ich egzekwowania. Po uporządkowaniu wyglądały one tak: 23 postulaty skierowane do Zjednoczenia, 3 — do władz terenowych, do innych jednostek „zewnętrznych” — 6 oraz 202 do dyrekcji i administracji zakładu. Tak, „wylizanka” niewiele mówi. Niestety, niewiele też powiedziano załozie. Mniej więcej właśnie tyle. No jeszcze trochę: „Realizując te postulaty uintensywniono pracę służb zaopatrzenia. Trudności, jakie występują w tej dziedzinie, nie spowodowały jednak nawet krótkotrwałych postojów”. Powiedziano również że „na postulaty skierowane do władz terenowych otrzymano odpowiedzi negatywne. Dotyczyły — dostaw wędlin i mięsa”. Podobnych stwierdzeń jest więcej. Dlatego też na zebraniu sprawozdanie dyrekcji podsumowano krótko: taka informacja jest gorsza niż w prasie, i to tej „starej”. Potrzeba było na nią aż trzech miesięcy. Pod koniec listopada udało się dyrekcji przezwyciężyć jeszcze jedną trudność. Maszynistki przepisały pełny wykaz



Nie dali szansy

postulatów i można je było nareszcie przedstawić całej załodze. Na dokładniejsze sprawozdanie z podjętych działań zabrakło już czasu. Czy można w tej sytuacji dziwić się ludziom, że są rozgoryczeni? „Gdybyśmy strajkowali, taka lista wisiałaby już dawno” — stwierdzili niektórzy. I chyba mieli rację. Spokojny z najwyższą uwagą. Cenę za to musiał zapłacić jednak ktoś inny.

MOŻEMY PATRZEĆ W OCZY

Opracowanie postulatów, przepisanie, i przede wszystkim, ich realizowanie — to sprawa administracji. Egzekwowanie tego powinno jednak należeć do reprezentacji pracowników — Rady Zakładowej. Z obowiązku tego Rada nie wywiązała się. To fakt. Można się jedynie zastanawiać, czy stało się tak dlatego, że nie chce ona bronić interesów ludzi, czy że lepiej bronić ich nie potrafi. Jest to pytanie o rzeczywiste partnerstwo Rady i dyrekcji. Na zebraniu ktoś odpowiedział na nie krótko: „Dyrekcja nie ma dobrego stosunku do Rady. Dlaczego? — bo nie wyszła ona z administracji”. Takie stwierdzenie jeszcze niedawno byłoby najlepszą legitymacją związkową.

Dzień przed zebraniem wywieszono listy propozycji podwyżek. Średnio na każdego przypadło 720 złotych. W praktyce było jednak różnie. Także i tak, że zarabiający bardzo mało dostali niewiele. To chyba najbardziej psuło krew ludziom. Więcej niż wliczenie do podwyżek sierpniowej regulacji płac. Od tego właśnie zarządzania Rada Zakładowa odwołała się do centrali, nie akceptując całej listy podwyżek. Informowała o tym mała karteczka przypięta na tablicy obok wielkich placht wykazów płacowych. „Nie podpisaliśmy jej i możemy

wam wszystkim patrzeć teraz w oczy” — powie na zebraniu sekretarz Rady. Ludzie jednak myśleli inaczej. „To nieprawda, że brak jest zainteresowania dzisiejszym zebraniem — stwierdziła Janina Szumowska. — Ludzie wstydzą się tu przyjąć. Trzeba było wcześniej zainstalować magnetofon przy wywieszonych listach i posłuchać co mówią. Nie przyjdą też więcej. Same frazesy: „myśmy”, „byśmy”. A co rzeczywiście dla ludzi zrobiono?”.

Nowa Rada została osamotniona. Dyrekcja nie potraktowała jej jak poważnego partnera, z którym rozliczać się trzeba konkretnie i szybko. A brak konkretnych rezultatów działania usunął Radzie grunt spod nóg w opinii załogi.

KILKA PYTAŃ

Tymczasem teren akcji nie był pusty. Związki branżowe miały przecież potężniejszego z dnia na dzień konkurenta, któremu na imię „Solidarność”. Gdy sekretarz Rady Zakładowej zakończył referowanie przebiegu obrad zjazdu związkowego oraz uzyskanych od resortu leśnictwa i przemysłu drzewnego, w wyniku podpisanego porozumienia, dodatkowych świadczeń, ustępstw i podwyżek (uwzględniających wiele postulatów załogi), z kilkoma pytaniami zwrócił się do niego Antoni Dudziński. Nieprzypadkowo dotyczyły one właśnie „Solidarności”:

— W wielu zakładach działa „Solidarność”. Czy jej przedstawiciele uczestniczyli w obradach?

— Nie było takiej potrzeby. „Solidarność” nas też nie zaprosiła na swoje obrady.

— Czy zjazd zajmował się sprawą współpracy z „Solidarnością”? Przecież trudno sobie wyobrazić, w przyszłości resort miał prowadzić rozmowy np. z pięcioma związkami.

— Nie.
— Co wobec tego oznacza końcowe stwierdzenie w przedstawionym porozumieniu, że nie kwestionuje innych zawartych porozumień? Jeżeli bowiem są one mniej korzystne, to czy jest sens utrzymywać ich ważność? A może są one lepsze dla jakichś zakładów lub grup pracowników?

— To rzeczywiście należy przy najbliższej okazji wyjaśnić.

— Czy dokonano oceny CRZZ?

— Nie.

— To dlaczego podjęto decyzję o wystąpieniu z niej. Do sierpnia chwaliło się ja, a potem wszyscy pociekali. A może ona była dobra? Powinno się to konkretnie powiedzieć. Czy związek dyskutował także nad rangą związku w zakładzie? Bo jak do tej pory, był on raczej organem opiniotwórczym, np. przy zwalnianiu pracowników. Może przyzwyczajenie związek nie potrafi wypowiedzieć swojego zdania? A może nie chce się go słuchać?

W przełożeniu na język zakładowych konfliktów: Nowa Rada Zakładowa nie ma u nas nic do gadania.

Na fali rozgoryczenia skrajne opinie zdarzają się często. W tej sytuacji wymowne się staje postępowanie samych członków Rady. Jej przewodniczący na spotkaniu z pracownikami jest nieobecny, gdyż musiał wyjechać na zebranie okręgu do Białegostoku. Przypadek? Zapewne, ale dla ludzi bez znaczenia. Docierają także wieści, że na terenie zakładu organizuje się „Solidarność”. Aktywnie uczestniczą w tym ponoć niektórzy działacze nowej Rady. Czyżby sami nie wierzyli w skuteczność jej działania?

WOTUM NIEUFNOŚCI

— Półtora miesiąca na ocenę nowej Rady to na pewno za mało. Jestem pewien, że nikt więcej by nie zrobił — mówi Feliks Wejner. I choć jest to prawda, większość załogi nie wierzy w nią. Jest to porażka nie tylko związku. Myślę, że także samych pracowników. Nową Radę wybierali przecież sami, bez żadnego manipulowania! Dwadzieścia jeden osób powołanych do pełnienia miało także jak najlepsze chęci. Obwiniać o nią dyrekcję byłoby zbyt dużym uproszczeniem. To prawda, że powinna i mogła pomóc znacznie więcej. No cóż, nie pierwszy to raz prosił się nie słuchać się uważnie. Dlatego też Edward Mielchalski ocenił to inaczej: „Rada nie ma kontaktu z ludźmi. Siedzą i gadają, a na terenie zakładu ich nie ma. Nic więc dziwnego, że o „Solidarności” niektórzy dowiadują się teraz, na sali”.

Największą barierą dla nowej Rady okazały się stare metody. Opiniowanie, uczestniczenie, pożyczki, odwołania, cebula i ziemniaki — to wszystko pozostało w spadku po starej działalności. Czy sprawę nieważną? Na pewno nie. Ale nie najważniejszą. Gdy w końcu sekretarz Rady zadaje uczciwe, męskie pytanie: „czego Rada komuś nie załatwiła?” — konkretnych zarzutów rzeczywiste nie słyhać. No, jeden, że nadal brakuje grzałki do gotowania mleka, że kupiono co prawda parniki, ale zaczęło się wtedy przypalać. Dolewano więc wody i, zamiast mleka, ludzie piją serwatke. Czy jest to jednak zarzut pod właściwym adresem? Można wątpić. Od grzałki i mleka są przecież zakładowe służby socjalne. Rada powinna realizację tych postulatów tylko egzekwować. O ile ma chęci i możliwości. A tego przez samą znaną nazwę czy ludzi się nie uzyska. Anegdota o dyrektorze, który od usuniętego poprzednika otrzymał załakowane koperty z radami podpowiada, że na trudności najlepsza jest reorganizacja. Nie wychodzi coś starej Radzie, zmieni ją na „Solidarność” — rozumuje wielu. Być może mają rację, ale potwierdzić ją mogą tylko konkrety. Same hasła niewiele dadzą. Czy w tym momencie nie one jednak przeżywały na sali? Antoni Dudziński ujął to tak: „Najpierw trzeba rozliczyć Radę z przyjętych obowiązków, a dopiero potem przejść do „Solidarności” lub pozostać z boku. Dwóch zagonów nie można orać jednym pługiem. Tymczasem ludzie dyskutowali na zewnątrz przy listach płac, a do sali nie przyszli. Nie dali szansy Radzie Zakładowej, choć przecież ona jeszcze istnieje”.

MAREK ROSIŃSKI

byle papiery w porządku

"Państwo zrobi wszystko, aby pomóc rolnikom". Trudno powiedzieć, czy to „wszystko” znaczy dużo, czy mało. Najlepiej więc może mówić konkretnie. Na przykład o węglu. Z opałem w tym roku są takie same trudności, jak w ubiegłym. I nie chodzi tylko o to, że jest go za mało, bowiem problem nie kończy się z chwilą, gdy węgiel zostanie przesłany do danej miejscowości. Dla wielu wtedy właśnie się zaczyna. Przykład Radziłowa nie jest zupełnie wyjątkowy.

Wtorek, 11 listopada. Budynek o-bok Urzędu Gminnego jest obleżony od rana. O tym, że węgiel przyszedł już w poniedziałek, dowiedział się nie tylko Słucz, na który wypadła właśnie kolejka odbioru, ale i cała okolica. Zjechali furmankami ciągnikami, własnymi i pożyczonymi, z kieszeniami pełnymi różnych kwitów: za świniaki, za cielaki, za machorkę. Stoją dwoma imponującymi kolejkami, jedną przed biurem (przeważnie kobiety), drugą przed magazynami GS-u. Pierwszą obserwuje naczelnik, drugą — z okna swego biura — sekretarz Komitetu Gminnego. U naczelnika trzeba grzecznie i cierpliwie. Może przyjdzie, Dobrze, że chociaż można się pogrzać przy rozgrzanym piecu.

Jedną z kobiet nie wytrzymuje. Dostaje bezwzględnie przerywa tete à tete pana naczelnika z panią sekretarzem gminną: — Panie naczelniku złoty, pan mi pomoże, kwit mi dali, ale ceny nie postawili na ten węgiel i nie chcą teraz wydać. Całą noc już my czekali, drugiej już nam

chyba pan nie każe. Pan jest dobry, jeden telefon do prezesa GS-u wystarczy, on nam wyda ten węgiel. Ani kilograma już nie mam. Na czym strawę ugotuję? Kuczyńska Bolesława się nazywam. Pan tam zadzwoni, powie: „Prezesie, dajcie tej biednej Kuczyńskiej węgla, to ona będzie wam do końca wdzięczna”. Zrobi pan to?

— Nie mam po co do niego dzwonić, bo gdyby prezes wiedział, jaka jest cena węgla, to by go wam sprzedawał. Trzeba czekać, może zaraz cena przyjdzie.

— Ale ile czekać?! Może dziś, a może jutro się dowiedzą. Ja myślę, że to można jakoś załatwić. Pan jest tu najmądrzejszy w naszej gminie, dlatego my tu przychodzimy. Niech pan zadzwoni. Ja pójdę już, ludziom powiem, że pan będzie interweniował, że pan najładniejszy i najmądrzejszy w naszej gminie.

Naczelnik jednak nie interweniował u prezesa. No, bo czy sytuacja jest nadzwyczajna? Chłopi mają czas, mogą poczekać! A zresztą, prezes przezornie opuścił Radziłów chroniąc się w pobliskiej wsi Łoje-Wissa. Nie jego wina, że listy przewozowe nie informują o cenie, że faktury idą pocztą, a węgiel dociera często szybciej niż listy. Sumienie ma czyste, a wysłać się nie musi.

Pierwszy sekretarz KG przyjmuje rolników od razu. Nie wysłuchuje ich spokojnie i obojętnie jak naczelnik, lecz dyskutuje, tłumaczy: — Krytykowaliście partię, że się do wszystkiego wtrąca, że rządzi. To

czemu do mnie z tym przychodzić? Ani nie jestem władzą tutaj, ani ceny wam nie wymyślę, nie znam się na tym. I nie kłamię mi, że staliście całą noc. Mnie nie oszukacie. Widziałem was dziś rano, jak przyjeżdżaliście.

Nie ominęło rolników całonocne i całodzienne czekanie na mrozie. Rozgrzewali się gorzałą i niepotrzebnymi dyskusjami. W końcu, wściekli, „dobrali się” do węgla bez zezwolenia władz. Przy okazji pobili milicjantów. Plutonowy Załęski mówił: — Dostało mi się przy okazji kilka długich batów, ale rozumiem ich — to skandal, tyle czasu niepotrzebnie trzymać ludzi na zimnie.

To, co wydarzyło się w Radziłowie, jest faktycznie skandalem, tyl-

ko że baty powinni dostać zupełnie inni. Komendant posterunku tłumaczył sekretarzowi KG PZPR, że nie byłoby przestępstwem wydanie ludzom węgla po cenie, którą zaproponowałyby magazynierzy. Od lat sprzedają towar i na pierwszy rzut oka potrafią go ocenić. Gdyby były jakieś różnice, zawsze można byłoby wyrównać je w jedną czy drugą stronę. Na kwicie jest imię i nazwisko, adres, numer dowodu osobistego...

Nie pierwszy to jednak prezes, który ułakił się tak wielkiej odpowiedzialności za papierki. Czynów nie musi się bać. Wystarczy, jeżeli tamte będą w porządku.

DANUTA WRONISZEWSKA



pokochoać instrukcję

Niemożliwe jest „zaprogramowanie” w przepisach prawnych wszystkich przejawów życia. Zawsze okaże się ono bogatsze. Gdy zdarzy się wypadek nieprzewidziany prawem — sztuka staje się stosowanie właściwego przepisu.

Taki przypadek zdarzył się w Łomżyńskiej Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Czesława M. w roku 1975 założyła książeczkę mieszkaniową z wkładem 25 tysięcy złotych. Pod koniec ubiegłego roku dowiedziała się, że spółdzielnia zamierza budować domki jednorodzinne. Po zasięgnięciu informacji postanowiła uzupełnić wkład na książeczkę mieszkaniową do 145 tysięcy złotych (tyle miała wynosić pierwsza rata), nie podejmując jednak zobowiązań pisemnych wskazujących, że reflektuje na mieszkanie w takim domu. Po kilku miesiącach plany życiowe czytelniczki zmieniły się. Postanowiła wycofać z książeczki mieszkaniowej część wkładu, a mianowicie 120 tysięcy. Niestety, zarząd spółdzielni odpowiedział odmownie. W swoich decyzjach powoływał się na instrukcję służbową NBP, której podstawą wydania była uchwała Rady Ministrów nr 125 z 1965 roku oraz zarządzenie ministra finansów opublikowane w 27 numerze Monitora Polskiego. Instrukcja ta określa, że: „Właściciel książeczki mieszkaniowej może zlecić przekazanie części wkładu zgro-

madzonego na swojej książeczce jako nakładu na sfinansowanie kosztów przygotowania inwestycji do realizacji spółdzielczego budownictwa jednorodzinne. Częściowa wypłata wkładu z książeczki mieszkaniowej może również nastąpić w przypadku przekazania pieniędzy na mieszkanie rotacyjne”. Punkt drugi tego samego działu instrukcji, zgodnie z zaleceniem centrali NBP traktowany jest jako uzupełnienie wyżej wymienionego punktu pierwszego: „Częściowa wypłata wkładu zgro-

madzonego na książeczkę mieszkaniową — na pisemny wniosek wkładcy — może nastąpić na podstawie zgody dyrektora PKO. Jeśli właściciel książeczki jest członkiem spółdzielni, w związku z tym wkład jest zawinkulowany na rzecz tej spółdzielni — do wniosku powinna być dołączona zgoda spółdzielni”. Jak z tego wynika prośba czytelniczki nie pokrywała się z żadnym z wymienionych przypadków. Trzykrotnie zarząd WSM w Łomży rozpatrywał tę sprawę i trzykrotnie odpowiadał negatywnie. Natomiast PKO bez zgody spółdzielni nie chciało wypłacić żądanej sumy. Problem był konsultowany z Zespołem Członkowsko-Mieszkaniowym CZSBM.

Tam również skłaniano się ku rozwiązaniom prezentowanym w instrukcji bankowej. Zrodziły się jednak wątpliwości. Czy częściowych wypłat nie można dokonywać również wówczas, gdy wpłata ponad cenę mieszkania aktualnie przysługującego jest aż tak wysoka? Czy wobec tego zastosowanie przepisu z instrukcji bankowej, zabraniającej częściowych wypłat nie szłoby zbyt daleko? Czy nie naruszałoby pewności obywatelki, co do możliwości rozporządzania własnymi pieniędzmi? Może taki zakaz, przy większej ilości przypadków odbiłby się niekorzystnie na interesach spółdzielni. Obywatele wiedząc, że nadpłaconych pieniędzy nie odzyskają, byłiby na tyle ostrożni, aby nie wpłacić ani złotówki więcej ponad koszt mieszkania aktualnie przysługującego. W tej chwili spółdzielnia mieszkaniowa gospodarują wkładami obywateli, na których kontaktach znajdują się, kwoty znacznie przekraczające cenę mieszkania im przysługującego.

Spółdzielnia ma również swoje racje. Umożliwienie częściowych wypłat ograniczałoby fundusz spółdzielczy potrzebny do finansowania budowy mieszkań. Spółdzielnia spel-

nia też istotną funkcję ze względów społecznych. Gromadzi nadmiar pieniędzy z rynku. Ale nie może wykonywać tego zadania wbrew woli obywateli.

Po rozważeniu wszystkich argumentów prezes WSM zdecydował: „Wydamy pisemną zgodę na wypłatę pieniędzy właścicielce książeczki do wysokości ceny mieszkania aktualnie przysługującego, z zachowaniem praw kandydackich. Co dalej z tym robić, niech martwi się PKO”.

Problem został więc rozwiązany, bowiem dyrektor łomżyńskiego oddziału PKO wcześniej zapowiedział swoją zgodę, jeśli Czesława M. uzyska pozytywną odpowiedź spółdzielni. Cała ta sprawa rodzi jednak dalsze pytania. Czy podobne wnioski będą załatwione również z takimi korowodami? Prezes WSM, zapowiedział wystąpienie do CZSBM z pismem o szczegółowe uregulowanie tej kwestii. Czy słowa dotrzymał i czy CZSBM rzeczywiście problem rozpatrzy, będzie można na pewno sprawdzić, gdy podobny przypadek powtórzy się.

(WiK)

notatki z marginesu

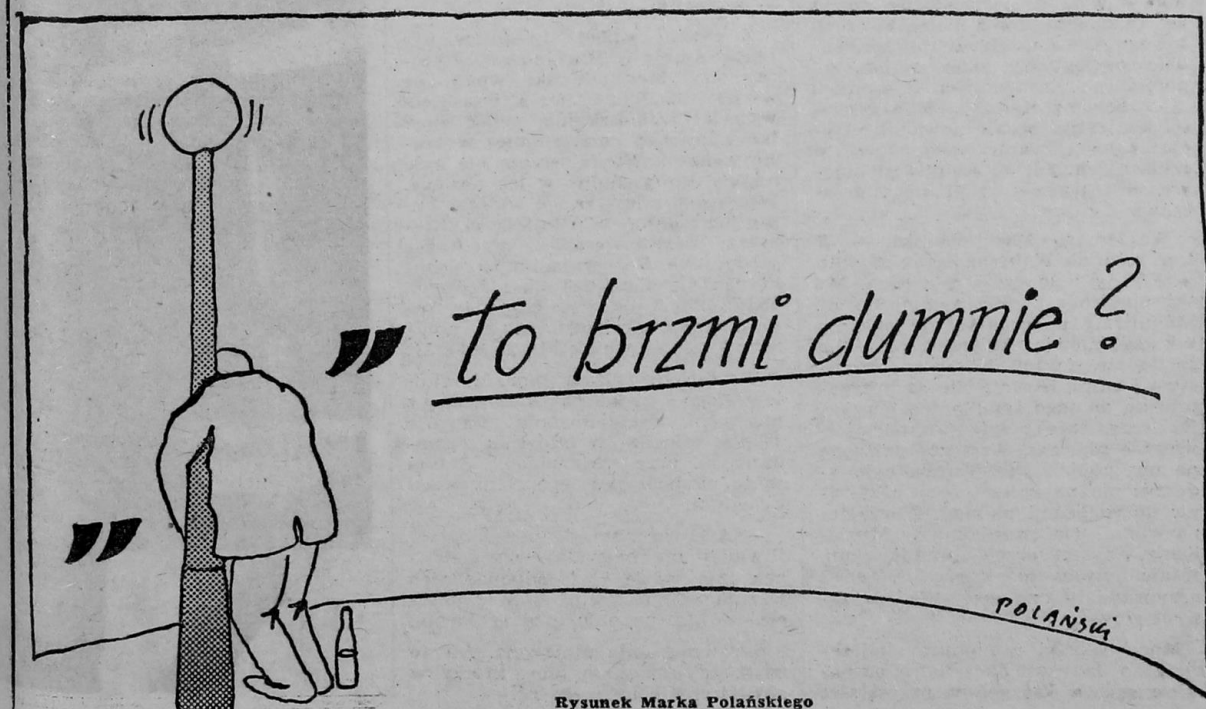
Wracając wraz z żoną po wypiciu alkoholu na weselu w Piątnicy mieszkaniowiec Łomży, Anatol K. (ojciec dwojga dzieci) skoczył z mostu do Narwi. Ciało dotychczas nie odnaleziono.

Obok pijalni piwa na ul. Spokojnej w Łomży zmarł nagle, wskutek pijaństwa, Franciszek K.

W Zambrowie Czesław D. włamał się do mieszkania Mieczysława G. kradnąc butlę gazową i kapę wartości 800 zł.

Prokuratura Rejonowa w Zambrowie wniosła akty oskarżenia przeciwko sześciu młodocianym przestępcom, którzy w br. włamując się do mieszkań i obiektów społecznych skradli rzeczy wartości ok. 200 tys. zł oraz dokonali napadu rabunkowego na sklepowa, przenoszącą utarg w wysokości 211 tys. zł.

W Łomży coraz bardziej zwiększa się ilość włamań do piwnic, których celem są zgromadzone na zimę przetwory owocowo-warzywne.



Rysunek Marka Polańskiego

intervencje



kontakty kontaktów

DOKONCZENIE ZE STR. 3

ligi. Robił wszystko, by swojej drużynie zapewnić jak najlepsze warunki do treningu. Gdyby nie jego zaangażowana postawa, prawdziwe umiłowanie koszykówki, dziewczęta te nigdy nie umiałyby grać. Na równi z zawodniczkami przeżywał porażki i cieszył się zwycięstwami. I nagle trach, porwanie. Cały jego trud poszedł na marne.

(nazwisko i adres znane redakcji)

Piszę do redakcji w dość typowej mieszkaniowej sprawie. Nie mam jednak innego wyjścia. Chodzi mi o sposób traktowania interesantów przez urzędników ADM-u w Łomży. Dopiero od dwóch miesięcy jestem lokatorką mieszkania należącego do ADM-u, a już mam bardzo smutne doświadczenia. Poprzedni lokator zlikwidował korek do klozetu, podłączając tam pralkę automatyczną. Już od września wciąż proszę ADM o dostarczenie mi tego korka. Jak dotąd bez skutku. Gdy woda zalała sufit w mieszkaniu piętro niżej, obiecano mi go wreszcie dostarczyć. Niestety, tylko obiecano. Sama kupiłabym ten korek, żeby mieć wreszcie spokój, jednak klozet jest starego typu i nie ma już takich w sprzedaży. Druga sprawa, z którą nie mogę się uporać dotyczy przydziału boksu na wózek. Codziennie muszę wnosić wózek na drugie piętro, podczas gdy na dole stoi zamknięty, nie wykorzystany boks. Moje podanie ADM załatwił odmownie. Sądzę, że postępowanie ADM-u w obu moich sprawach dowodzi tylko złej woli urzędników.

GRAŻYNA CICHOCKA
Łomża

Szanowna Redakcjo, przeczytałam w prasie o ogłaszaniu przez Was konkursie na „Pamiętnik nastolatka”. Nasunęła mi się w związku z tym myśl o rozszerzeniu tematyki konkursu o pamiętnik ludzi, którzy naście lat mieli w czasie hitlerowskiej okupacji, lub jeszcze wcześniej przed wojną. Wspomnienia z tamtych lat byłyby chyba interesujące dla dzisiejszego młodego pokolenia, które uczy się i bawi w pokój, a tamte trudne lata są dla nich już tylko historią.

EUGENIA IWANCUK
Zamość

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Jako stała czytelniczka „Kontaktów” bardzo jestem ciekawa jak wyglądać będzie świąteczny numer Waszego pisma i czy planujecie zrobić swoim Czytelnikom miły gwiazdkowy prezent w postaci numeru niezwykle interesującego. Moim zdaniem, powinien on być w większości poświęcony tematyce świątecznej i w ogóle jakby „odświętny”. Widziałabym w nim — a myślę, że tni komuniści także — artykuł o tradycjach obchodów świąt Bożego Narodzenia w naszym regionie, wypowiedzi przechodniów na temat skąd wzięła się w naszych domach świąteczna choinka, kilka słów o tradycyjnej szopce kościelnej dawniej i dziś, wróżby i przesady związane z tymi świętami i koniecznie przede wszystkim jakąś tradycyjną ludową potrawę wigilijną. Myślę że w świątecznym numerze powinno być więcej niż zazwyczaj dobrego humoru. Mam nawet pewien pomysł: przedstawia kilka bardzo śmiesznych, maskaradowych wzorów ubraniowych na Sylwestra lub inną karnawałową okazję i nazwijcie to „Moda — Łomża 81”. Łączę bardzo serdeczne, aczkolwiek przedświąteczne jeszcze pozdrowienia dla całego zespołu „Kontaktów”.

ALICJA JĘDRA
Łomża

DOKONCZENIE ZE STR. 3

W centrum dolinki pięć szklarni, trzy tunele foliowe, garaże, budynek z wysokim kominem. W nim biuro, pokoje mieszkalne, kotłownia. Pod szklarnią 3000 metrów kwadratowych, pod folią — 600. Łączna wartość obiektu — 13 milionów złotych. Jego twórcy mają materiały jeszcze na dziesięć tuneli. Nie wybudują ich, bo pracowaliby tylko na podatki. Rocznie każdy z nich może zarobić 180 tysięcy złotych. Wyliczenia tegoroczne wskazują na 220 tysięcy. Więc gospodarze powoli materiały wyprzedają.

Do budynku z dużym szyldem „BIURO” prowadzi mnie Krzysztof Chrzanowski, współtwórca tego, co jest w dolinie między Piatnicą a Marianowem, szef produkcji w gospodarstwie, którego nazwę wiernie przepisuję z pieczątki: „Specjalistyczny Zespół Ogrodniczy »Forty«, 18-421 Piatnica k/Łomży”.

Przy drzwiach, na ścianie biura, niemalże metrowej wielkości termometr. Siedzący za biurkiem Waldemar Marchelewski, rolnik z pieczątką, mówi do Chrzanowskiego: — Była studentka z Szepietowa. Mówiła, że ona chciałaby od nas się uczyć, ale i my na tym skorzystamy. Z rozmowy wynika, że zna się na rzeczy. Warto by ją przyjąć.

W gabinecie dwa regały wypełnione książkami. „Ochrona roślin”, „Inżynieria gospodarstwa”, „Ogólna ekonomika ogrodnictwa”, ale i „Fotografia w praktyce amatorskiej” ma tu swoje miejsce.

Nad biurkiem dyplom, przyznany przez Radę i Zarząd Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej w Łomży: „Serdeczne podziękowania za dotychczasowe osiągnięcia i wyniki w rozwoju produkcji ogrodniczej życząc dalszych sukcesów. 15.V.1979 roku”.

W biurze mówi się o konkretach.

Waldemar Marchelewski: — Mogliśmy otrzymać kredyt w wysokości 9 milionów; wzięliśmy 6 milionów 300 tysięcy. Znajomy dyrektor budowy twierdzi, że jego firma podjęłaby się zrobienia tego, co mamy, za potrójną cenę, a i tak nawet połowa nie byłaby jeszcze skończona. No, a gdyby przypadkiem osiągnął takie wskaźniki, jak my, niechybnie awansowałby natychmiast na ministra. Każda nasza zainwestowana złotówka da w przyszłości 16 złotych. Gospodarstwa państwowe podobnego typu co najwyżej wychodzą na swoje; dobrze, jeśli nie ponoszą strat. PGR-owski szklarniom pomaga, kto może, a one i tak nieustannie są pod kreską.

Krzysztof Chrzanowski: — Jeśli zbieramy po 5 kilogramów pomidorów z metra kwadratowego, to wychodzimy na zero; gospodarstwa państwowe mają po 2—2,5 kilograma, a jeśli osiągną 5, to już cieszą się, że jest świetnie. Mamy dobre pomidory Nortona i Ostona, pochodzenia holenderskiego i doskonale polskie ogórki „Skierniewickie”, odporne na gorzknięcie. Tegoroczny zbiór pomidorów wypadł na poziomie powyżej 10 kilogramów z metra kwadratowego. Chcę na drugi rok sprowadzić (prywatnie, przez znajomych) pomidory „Eurowity” z Holandii i „Curabele” z Kanady. W przyszłości konieczna będzie nowa inwestycja: zainstalowanie deszczowni w szklarniach. Już są studnie głębinowe, jest pompa: robi się i deszczownie.

Waldemar Marchelewski: — W tym roku na Walnym Zgromadzeniu w Łomży była czeza gadanina. My też mieliśmy mówić o duperelach? Mówiliśmy o ogrodnictwie polskim tak, jak mówią inżynierowie. Nie spodobało się to. Nasze społeczeństwo i administracja nie są przygotowane do tego typu przedsięwzięć. Był czas, kiedy tylko napomysłaliśmy o planach. Wówczas patrzono na nas pobłaźliwie. Trzeba było uderzyć pięścią w stół, żeby przystąpić do realizacji marzeń. Z miejsca nazwano nas cwaniakami. Musieliśmy, nawet przed najbliższymi, zataić wysokość kredytów, gdyż przyprowadził one wszystkich o zawrót głowy.

Marchelewski proponuje obejrzeć gospodarstwo. Zaczynamy od pomieszczeń, w których w przyszłości



styl na

będą mieszkać przyjeżdżający na staże studenci ostatniego roku Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie; obaj z tej uczelni wyszli.

W szklarniach, przy niemalże pieczołiwym dotykaniu krzewów pomidorowych i pędów ogórkowych, gospodarz mówi: — Kto dziś czuje ziemię? Sentyment do pracy, do rolnictwa — gdzie to jest? Kiedys co niedziela, zwłaszcza wiosną, gospodarz brał rodzinę i szedł w pole. Żył życiem zbóż, traw. To było zwyciężaniem uświęconym przez tradycję.

Zbliżamy się w stronę domów; każdy o powierzchni mieszkalnej około 180 metrów kwadratowych. Przy domu Chrzanowskiego pracują robotnicy. Między szosą a ulicą powstaną korty tenisowe.

Przechodząc różnymi pomieszczeniami Marchelewski rzuca: — Gabinet, kuchnia połączona z jadalnią, sauna, taras.

A jeszcze niedawno, dwa lata temu, przemieszczał z żoną pięć mieszkań na placu w namiocie.

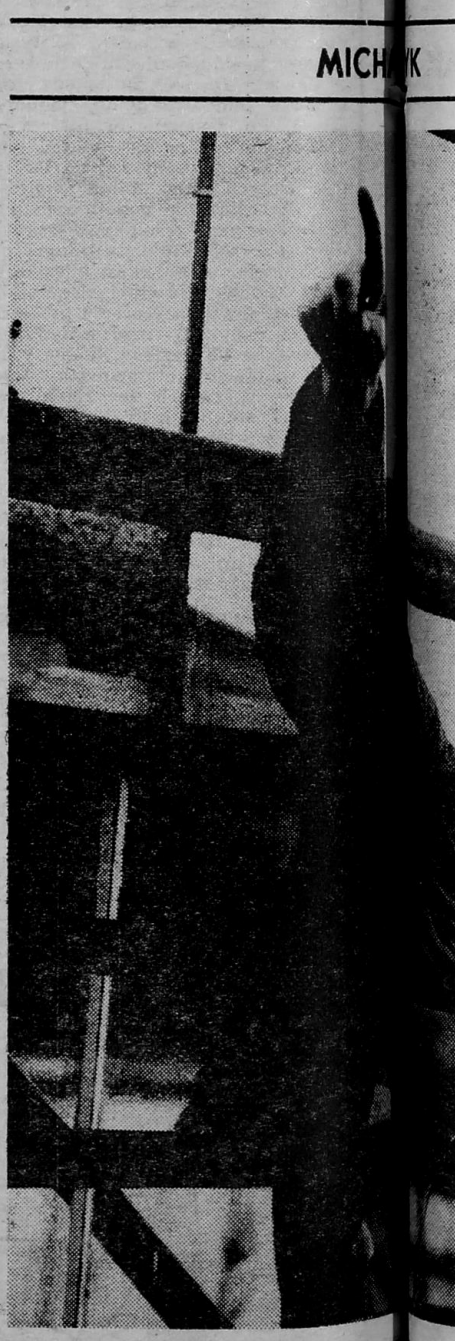
— Lato było wyjątkowo ulewne — wspomina.

Z chwilą wzięcia kredytów dyrektor szkoły w Marianowie, w której uczył Marchelewski, wpadł we wściekłość. Nauczyciel z trzaskiem wyleciał z mieszkania, choć mógł tam mieszkać przynajmniej w czasie wakacji. Wtedy jeszcze nie było nikogo, kto stanąłby w ich obronie. Wszyscy myśleli, że się wyłożą. Teraz już i obrońcy, i dojścia są. Niektórzy chcą inwestować w ich gospodarstwo. Pożyczają im na wysoki procent pieniądze bez żadnych obaw. Ba, dla ich gospodarstwa stworzono administracyjnie nową nazwę miejscowości: Piatnica-Forty.

W dowodzie osobistym Marchelewskiego nadal na stempelku z miejscem zameldowania figuruje szkoła; mieszka w budynku gospodarczym, przy szklarniach. Stanał za to na początku tego roku przed kolegium.

— A gdzie mam się zameldować? Przepisy nie pozwalają na meldunek tam, gdzie brak odpowiednich warunków mieszkalnych! Więc piszę, mówię, na polu, pod szklarnią.

Sprawa została umorzona. Ale to znak, że jeszcze są tacy, którzy w każdej chwili mogą kasać.



ortach

MICH



Obaj wyszli z Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. Obaj na pewnym etapie życia znaleźli się w Zespole Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Marianowie. Robili to, czego nie lubili. Naukę jazdy na traktorach mogli przecież prowadzić instruktor po zasadniczej szkole.

— Przychodzi taka chwila w życiu — mówi Marchewski (lat 32) — kiedy człowiek zaczyna myśleć o tym, żeby coś po sobie zostawić. Ślad na ziemi. Jest taki film chyba? — upewnia się.

W szkole ogarniała ich nuda. Bazy maszynowej nie było. Każdy dzień zaczynał się pytaniem: „Co dziś będę robił? Czy znów to samo?”

— Po pięciu latach pracy w szkole, dorabiając na gospodarstwie, byłem niezależny. Miałem na samochód; no, mogłem też postawić domek. Ale co dalej? Znów ten sam kierat każdego dnia.

Podjęli więc próby wyrwania się z tej odrętwiającej atmosfery. Krzysztof zakwalifikował się na trzynastomiesięczną praktykę w Kalifornii. Waldemar również starał się o ten wyjazd (z żoną). I wtedy przyszedł błysk refleksji: po co budować kornus? Zrobimy coś tu, w tej dolinie.

Waldemar miał niewielki kapitał, były szanse na kredyty w nowo powstałym województwie, a wreszcie gospodarka narodowa stawiała (i stawia) na specjalizację. Krzysztof zrezygnował z wyjazdu.

Waldemar początkowo zastanawiał się nad brojlerami. Krzysztof myślał o warzywach. Była i trzecia ewentualność: pieczarkarnia. Jeździli, patrzyli, pytali. W ministerstwie otrzymali odpowiedź jednoznaczna: „Po co importować? Lepiej mieć swoje”.

No i zdecydowali się na warzywa.

Dostali kredyty i — już nie mieli odwrotu. Spali po sześć godzin na dobę (Waldemar w namiocie), ale nie pytali każdego ranka: „Co będę dzisiaj robił?” Krzysztof, cierpiący zawsze na żołądkowe dolegliwości, przestał chorować, jak twierdzi Waldemar. W połowie maja 1978 roku ruszyli z budową. Zakończyli ją w listopadzie bieżącego roku.

W roku 1979 dali na rynek pomidory, ogórki, salate, cebulę i rzodkiewkę. Świętowali każdą okrągłą cyfrę dochodów.

— Piękny to był czas — wspomina teraz Krzysztof. — Toczyło się zapasy z samym sobą. Umiemy już sporo. Wiemy, na przykład, że dobry ogrodnik powinien czuć produkcję każdym nerwem. Sam wkład pracy, nawet ogromny, to jeszcze za mało. Trzeba mieć do niej serce. Słowem: do tego fachu potrzebny jest artysta.

Patrząc na krzwy pomidorów i pnąca ogórków w szklarniach — nie mam wątpliwości: Krzysztof niechybnie jest artystą.

Po z górą dwóch latach od chwili rozpoczęcia budowy wszystkie działania są rzeczowo rozpatrywane; przed i po ich podjęciu. W tym względzie zachowują wobec siebie rygor jak na pierwszym etapie wspólnego przedsięwzięcia. Ale przecież ten wspólny wysiłek i jego owoce przeobraziły ich psychikę.

— Człowiek, który coś posiada, musi zmienić osobowość — mówi Marchewski. — Odpowiedzialność, słowność, rygorystyczność pozostają; przekształca się punkt widzenia życia, sposób wartościowania. Najważniejszy staje się czas i jego optymalne wykorzystanie. Taki przykład: przedtem każdy wyjazd, choćby do Warszawy, był pieczołowicie przygotowywany. W domu panował nastrój odświętny. A dziś, jeśli mam interes do załatwienia w stolicy, nad niczym się nie zastanawiam: po prostu jadę. Trzeba do Katowic, zamkamy drzwi i udajemy się z żoną do Katowic. Kiedys pozwalałem sobie na dwudniowe lumpki; teraz też mogę pić, ale muszę przez cały czas wiedzieć, co robię i mówię. Jednak człowiek już się nie zastanawia w sklepie nad ceną. Książki, których nie można dostać w księgarni, bez zastanowienia kupuję po cenach kilkakrotnie wyższych na bazarze. Niedługo kwestia wypożyczenia też przestanie istnieć.

Marchewski wstaje o 5.30 i przez godzinę biega po fortach i szuka Nara; codziennie, bez względu na pogodę. W tym czasie myśli nad planem dnia. O 6.30 przychodzi do biura. Przed siódmą przyjeżdża Krzysztof. Dziela robotę. Między 11.00 a 11.30 przerwa; po niej znów praca, aż do wieczora.

— Teraz, na przykład, jest przerwa — Waldemar patrzy na zegarek — a robotnicy przy budowie domu pracują. Chcą zalać strop, więc się spieszą. Nikt tego od nich nie wymaga, ale moim zadaniem jest to dostrzec i zapamiętać. My się tu nawzajem nie pilnujemy.

Wpadł do biura kolega mający dojsca.

— Słuchajcie! Jest okazja: kolorowy telewizor „Jowisz” za 43 tysiące. Będą droższe w przyszłości.

Krzysztof: — To dwa bierzemy.

Waldemar: — Za co kupisz? A mamy czas oglądać?

— Możemy wstawić do świetlicy. Żony w domach będą miały czarno-białe, a my w biurze — kolor.

Idziemy z Marchewskim do „Tawerny”, pobliskiej restauracji, gdzie zazwyczaj spożywa posiłki. Przy obiedzie nie pada ani jedno słowo o szklarniach. Waldemar już ma inne plany. Chętnie wzięby w ajencję „Tawernę”. Wybudowałby hotelik, basen, otworzył nocny lokal. Do tego musiałby mieć gospodarstwo i raz na tydzień bić wieprzka.

Ale póki co — firmie na Fortach potrzebny jest sklep w Łomży.

—◇—

Funkcjonariusz MO: — To jest dobre, te szklarnie. Chłopcy też w porządku.

Działacz ZSMP: — Czy to jest społecznie ważne? Nie powiedziałbym. Ale szmal zrobią.

Nauczyciel LO lat 32: — Warto by samemu o tym pomyśleć.

Robotnik: — Ho, ho, jak dobrze na tym wyszli! Musieli mieć dobre plecy. Bo jakże inaczej?

Fot. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



Konwojent GS-u w Sokolach sprzedał Przedsiębiorstwu Transportu Wiejskiego — w zamian za części do swego samochodu służbowego — ponad 170 kilogramów mięsa. W efekcie sporu pomiędzy prezesem GS-u, który postanowił zwolnić konwojenta z pracy, a Radą Zakładową, upierającą się przy zatrzymaniu na stanowisku tegoż, ponieważ działał w interesie Spółdzielni — przedsiębiorczy pracownik został zawieszony w obowiązkach. Być może Rada Zakładowa zna lepiej tzw. życie od prezesa, czym dałoby się wytłumaczyć jej stanowisko. Można przyjąć też jej argument, że przecież konwojent rozliczył się z pieniędzy; chcemy wiedzieć tylko jedno — jak?

*

W kwadracie ulic: Armii Czerwonej, Sadowej, 22 Lipca i Świerczewskiego w Łomży nie znajdzie się ani jednej skrzynki pocztowej. W ten sposób poczta ma mniej roboty, a korespondenci — zagospodarowany czas.

*

Gdyby sklep spółdzielczy w Czarotorii (gmina Miastkowo) sprzedał jednego dnia wszystkie posiadane towary (razem z garnkami), osiągnąłby sumę 15 tysięcy złotych, to jest tyle, ile wynosi codzienny utarg jednego (przeciętnego łomżyńskiego kiosku Ruchu).

*

W przeddzień wolnej soboty (21.11. br.) w budynku przy ul. Wiejskiej 8 w Łomży, w którym mieszczą się m.in. redakcja PAP-u i TNOiK, nastąpiła awaria sieci kanalizacyjnej. Woda zalała wc na II piętrze, a następnie zaczęła się przesączać przez strop. Interwenującym lokatorem budynku hydraulik z Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej oświadczył: — Ja dziś nie pracuję, bo mam wolny dzień — po czym uśmiechnął się rozbawiająco. Nie jesteśmy przeciwnikami wolnych dni; prosimy jedynie o rozszerzenie prawa do nich na wodę, korozję, elektryczność, ścieki, choroby, kataklizmy i inne nieszcześcia.

*

Bardzo ucieszyło rolników z gminy Miastkowo spiećcie o GS-owskich wagach („Kontakty” 17/80). Pełni nadziei — podsunęli je samemu prezesowi, ale przyczynili się tym jedynie do ujawnienia jeszcze jednej obojętnej dla niego dziedziny, poza czasem rolników i dobrym imieniem Gminnej Spółdzielni; jest nią prasa. Czekamy na dalsze informacje dotyczące sfery życia, które nie interesują prezesa. Może złoży się na nowy łomżyński rekord.

*

Po ul. Nowej w Łomży wiatr roznosi ze śmietnika papiery biurowe. Nasz informator upiera się, że pochodzą one z Urzędu Wojewódzkiego, lecz nam trudno uwierzyć, aby tak szacowna instytucja lekceważyła akcję zbiórki surowców wtórnych.

*

Doniesiono nam, że w agencyjnym sklepie obuwniczym przy ul. Giełczyńskiej w Łomży sprzedawcy biją klientów po rękach.

*

Przy ul. Pięknej w Łomży ponad dwa miesiące temu zdarzyła się awaria wodociągu. Usterkę usunięto, lecz doły pozostały — na wypadek kolejnych awarii. A do tego psy pana C. nadal po nocach wyją i szczekają. I co na tej ulicy pięknego (poza pewną panią dyrektorkę)?



— Może być pan spokojny. Komisarz Pogorzelski jest inteligentnym człowiekiem, co więcej: odpowiedzialnym. Bez dowodów nie rozpoczyna sprawy. A dowody zbieraliśmy długo. Może nawet za długo; przed procesem Centrolewu należało waszą sprawę zakończyć. Nie lubimy, gdy żaba podstawi nam nogę.

— Rozmowę mam uważać za skończoną?

— Jeszcze chwila. Dobrze znałem pańskiego ojca. Siedziałem z nim w Cytadeli. To czysty i uczciwy człowiek, więcej: prawy. Nie wiem, kim pan jest? Mam jednak i do pana sympatię, coś z młodości ojca jest i w panu. Niewiele mogę panu pomóc, ale będę pamiętał. Sądzę, że się rozumiemy?

Rudnicki wstał, podał Adamowi rękę. Przy drzwiach oczekiwali policjanci.

W celi Anton (o którym zdążył się dowiedzieć, że należał do kadry wybitnych działaczy partyjnych) spytał: — No i co; paragraf 102?

— Zgadza się.

Do rozmowy wrócili na spacerze. Mróz nieco zelżał. Ostro świeciło słońce. Szli wolno, rozglądając się po kamienicach za murem, szarych, obdrapanych, z bielizną na balkonach. Anton weszyl grubszą prowokację i tym tłumaczył zwłokę przed Zjazdem. Aresztowanie Kongresu, bez gwarancji spektakularnego procesu, nie miało sensu. Krupa nie był, więc kto? Adam gubił się w domysłach, lecz domniemania Antona wydawały się logiczne. Mimo to nie rzucał podejrzeń na żadnego z najbliższych towarzyszy.

Dni w więzieniu układały się Adamowi w życie prawie bez jego udziału. Pobudka, kiblowanie, śniadanie, cisza, spacer, zajęcia w celi, kolacja, apel, układanie się do snu, noc, rozmowy przez sen i bez snu, szary brzask, pobudka, i tak codziennie. Raz w tygodniu golenie, łaźnia, lekarz, okrucy wolności w postaci widzenia, wiadomości, plotki. Próby kontaktowania się z innymi celami, czasami rozmowy z dozorcą (zależał czy dyżurował „szpicel”, czy „bokser”); wizytacja na czelnika więzienia, prokuratora; przyjaźnie i nienawiści, w celi i poza celą, układy z kryminalnymi, próby szkolenia, wieści z dochodzeń, przeważnie nieprawdziwe; poufne rozmowy z Antonem; zwierzenia i polityczne dywagacje, podobne do siebie i coraz mniej potrzebne.

Pierwsza wiadomość od żony — gryps z wolności: stara się o widzenie, pozwolą po zakończeniu śledztwa. Jest w ciąży.

Z różnych dochodzeń wypłynęło nawisko Karola Walczyka, członka egzekutywy Komitetu Łódzkiego. Sypał, czy od lat był prowokatorem? Adam przypomniał sobie, że Brylak podczas przesłuchania zapytał go o Walczyka. Powiedział, że nie pamięta, lecz Walczyk mógł go pamiętać.

W Warszawie aresztowano Piotra Spalka, a wraz z nim całą grupę działaczy, która kierowała pracą w podziemiu. Akcja policji rozwijała się coraz sprawniej.

Podczas ponownego przesłuchania wiadomość potwierdziła się: tak, Karol Walczyk.

— Pan nie zaprzeczy, że spotkał się z Walczykiem w Łodzi na frakcji KPP. Występował pan nie tylko w imieniu kierownictwa PPS-Lewicy, lecz Komitetu Centralnego KPP.

I wtedy padło nazwisko Racheli, łącznika KPP. Nocował u niej. Nawet mieszkał. Była pod obserwacją policji. Teraz jest aresztowana.

Zaprzeczył. Racheli nie mogła sypać. Był tego pewien.

Komisarz Pogorzelski wzruszył ramionami: — Przyznaje się pan czy nie, to pańska sprawa. Zeznania pana interesują mnie najmniej. Dla sądu liczą się dowody...

Prokurator Mędecki przerwał ze zniecierpliwieniem: — Znał pan sekretarza generalnego KPP, Juliana Leńskiego-Leszczyńskiego? Nie? Amsterdama również nie? A przecież spotkał się pan z nim w Sopocie, potem w Warszawie na podpunkcie koło kościoła św. Barbary, razem z Janem Izdorzycykiem? Antona Trzecińskiego pan jednak zna. Skąd?

— Z więzienia. Siedzimy w jednej celi.

łogę, w rogu kibel, łóżko na dzień zamykane kluczem. W ciszy więzienia zgrzyt klucza brzmiał jak krzyk. Próbował gimnastykować się, by nie płakać z chłodu i mój usnąć pod kocem.

W czwartą sobotę Adam otrzymał przez fryzjera wiadomość o nawiązaniu kontaktu ze starostą komuny. Określono kwadrat muru, którego szparą miały wędrować grypsy.

W kancelarii więziennej przesłuchiwał go sędzia do spraw specjalnej wagi. Dane osobiste, poszczególnie etapy działalności PPS-Lewicy, Krupa, kulisy Zjazdu, Targowiak odpowiadał uważnie, z ulgą. Sędzia nie był napastliwy. Rzeczowy i konkretny, zadowalał się odpowiedzią, nie łapał za słowa. Wyraził zgodę na gazety, listy, paczki. Zapowiedział, po zamknięciu śledztwa, widzenie z żoną, przedłużenie spaceru do pół godziny, oraz wizytę adwokata Teodora Duracza.

Adam miał wrażenie, że wyszedł z martwej fali. Poczuł powiew życia. Biegał po celi, nie mógł się uspokoić. „Czas pracuje dla nas — powtarzał — czas pracuje dla nas. Zobaczą Cechę, powie mi, co słychać. Jeszcze adwokat Duracz. Tak, oczywiście; wszystko będę wiedział. Zegar przesypuje piasek piekielnie wolno. Byle wytrwać. Wyroki na działaczy Centrolewu nie były takie wysokie. Muszą się liczyć z opinią

domość. Szedł wolno po żelaznych schodach. Bał się celi. Anton nie żył, a jemu groziło dziesięć-piętnaście lat. „Kanalie! pętają się wszędzie — myślał. — Współczesny świat powstaje nie z klocków, lecz z żywych ludzi: ich spraw, interesów, przeciwieństw. Może i my nie będziemy lepsi, gdy władza stanie się naszym udziałem? Śmierć Antona to prawo do nienawiści. Nienawiść potrzebna jest do wytrwania; w równym stopniu, co przekonania. Można się odnaleźć w miłości, trzeba w nienawiści”. I znowu biegł po celi aż do zmęczenia i ucieczki w sen.

W kilka tygodni później wezwano go na widzenie. Dostrzegł Cechę z daleka. Wydała się większa niż zawsze. Dopiero gdy się zbliżył, jej zmieniony stan wzruszył go. Patrzyli na siebie uważnie, wymieniali bezradne słowa: o sobie, dziecku, czekaniu.

— Bądź spokojny, jestem silna. A ty?

— Czuję się dobrze. To było wszystko, co potrafili powiedzieć. Cecha całowała go przez kratę. Paczkę zostawiła w kancelarii więzienia. Jeszcze jeden uśmiech w drzwiach i stracił ją z oczu. Nawet nie dostrzegł, jak była ubrana. Pamiętał tylko szal, którym przykrywała brzuch.

Pod koniec września przyszła wiadomość, że urodziła córkę, Agnieszka. Była dobrej myśli.

Śledztwo posuwało się naprzód, ciągle jednak nie było aktu oskarżenia. Gra na zwłokę czy zapowiedź dalszych represji? W więzieniu przebiegano o anulowaniu uprawnień więźniów politycznych. Szykany mnożyły się. Zrywano spacer, wypuszczano w pojedynkę. Otrzymał od starosty wiadomość, że należy liczyć z głódówką. Prokurator Grabowski z procesu działaczy Centrolewu został mianowany ministrem Sprawiedliwości. Nie wróżyło to niczego dobrego.

W chmurny listopadowy poranek dostrzegł na spacerze pojedynczego więźnia. Dopiero gdy zbliżył się, poznał Walczyka. Zatrzymali się zaskoczeni. Walczyk uczynił ruch, jakby chciał uciekać, lecz Adam zatrzymał go. Nie bardzo wiedział, dlaczego tak postąpił.

— Dlaczego sypiesz?

— Bito mnie.

— Kłamiesz, Donosileś. Byłeś prowokiem.

Usta Walczyka otworzyły się, zamknęły, Adam ledwo dosłyszał: — Nie byłem prowokiem. Mam dużą rodzinę, chorą żonę; obiecano mi wolność. Zostałem oszukany. Odwołam wszystkie zeznania.

— Kiedy?

— Na sprawie.

— Dlaczego nie teraz?

— Będą mnie znowu bić, nie wytrzymam.

— Chodźmy, patrz na nas. Chodzili w kółko równym krokiem, z rękami w kieszeniach.

— Pan zna samotność? — mówił Walczyk. — Moja samotność jest inna. Zanim nie skończył śledztwa, nie zwolnił mnie, a kiedy odwołam zeznania, nie zwolnił nigdy.

— Dlaczego chcesz to zrobić?

— Muszę. Nie chcę być prowokiem.

— Skaż cię i będziesz siedział razem z nami. Przyjmijemy cię do komuny. Czas ma swoje prawa, wyroki kończą się.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBĄ

— Wyraźne niedopatrzenie — oburzył się Mędecki. — Panie komisarzu, należy pana Targowiaka przenieść do innego więzienia. Powiedzą: Wronki, Na Gdańskiej mogą bezkarnie przygotować całą obronę.

— Oczywiście, panie prokuratorze.

— Czy w sprawie Andrzeja Krupy ma pan nam coś interesującego do powiedzenia? Nie? Pan miał dobrą rękę do ludzi oskarżonych o prowokację. W sprawie Nowaczka był pan nawet aresztowany?

— Prowadziłem śledztwo, lecz z braku dowodów winy pan Targowiak został zwolniony — wtrącił Pogorzelski.

— Należy ją ponownie rozprawać, panie komisarzu. Może Krupa też pan polecił zastrzelić?

— Krupa popełnił samobójstwo.

— Skąd pan wie? Nikogo przy tym nie było. List zawsze da się sfingować. Zabrał pan denatowi klucze i pieczęcie. Oddał panu? Dziecinada. Sztanz jest pańską specjalnością, panie Targowiak. Siostrę Bonieckiego, panią Halinę, też pan szantażował. Wiemy coś o tym. Kobietę mają długie języki, są bardziej szczerze, niż się panu wydaje. Należy skonfrontować Rachelę z panem Targowiakiem. Może się sobie przypomnia.

Do konfrontacji nie doszło, lecz Adam do celi na Gdańskiej już nie wrócił. Przewieziono go do więzienia we Wronkach i zamknięto w pojedynczej piątce kroków na dwa wysokie okienko, przykryte koszem, żelazny stół, wmurowany w pod-

publiczną. Czterdziestu ludzi w naszym procesie na ławie oskarżonych! Koko tego nikt nie przejdzie obojętnie. Prasa, protesty ludzi postępu, pisarze, robotnicy. Wymawiał słowa tak, jakby chciał się upewnić, że istnieją.

Widzenie z adwokatem Duraczem wypadło w końcu lipca. Adam był już wtedy w komunie. Siedzieli wprawdzie w pojedynkach, lecz godzina wspólnoty przywracała mu równowagę. Duracz nie należał do ludzi sentymentalnych. Z przekonania komunistą — traktował swoich podopiecznych jak żołnierzy na froncie. Nie robił złudzeń. Sprawa nie wyglądała dobrze. W Niemczech szturmowała brunatna fala faszyzmu, w Polsce podlegali repesjom ludzie różnych stronnictw; lewicy, prawicy, nie mówiąc już o podejrzanych o komunizm. Prowokacja w ich procesie była szyta grubymi niłami. Walczyk to mało wiarygodna dla sądu plotka, wystawiona dla zmylenia poszlak. Pogorzelski knuł coś na pewno. Cień Krupy padał na ławę oskarżonych, monstrualna ze względu na liczbę tam zasiadających polskich robotników i inteligentów.

Pana dodatkowo obciążała tajemnicze zabójstwo Nowaczka i śmierć Krupy. Brak przesłanek dowodowych, to prawda, lecz wystarczyła atmosfera podejrzeń. Anton Trzeciński został zastrzelony podczas próby ucieczki. Nie dostanie pan mniej niż pięć-sześć lat. Załatwiłem panu widzenie z żoną. Jest w ciąży, trzyma się doskonale.

Jedyna dobra potwierdzona wia-

Zdjęcie ze zbiorów Archiwum Państwowego w Łomży i Łomżyńskiego Towarzystwa Fotograficznego



Środa, 1 października 1980 r.

Dzisiaj jest pierwszy dzień mojego dorosłego życia. Wstałem wcześniej i pojechałem tramwajem na ulicę Piwną 36/39, gdzie mieści się Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych Urzędu Miejskiego w Gdańsku, aby otrzymać skierowanie do swojej pierwszej pracy. Od rana skierowałem się pod drzwi pokoju nr 7, ponieważ stała tam spora grupa mężczyzn. Wisiała nad nimi tabliczka z napisem „Referat D/S Zatrudnienia Mężczyzn — Rozprawy kwalifikacyjne i niewykwalifikowani”. Stałem na końcu kolejki.

Wreszcie przyszła moja kolej. Na drżących nogach wszedłem do środka. Okazało się, że zupełnie niepotrzebnie stałem w kolejce, bo po wymienieniu był się zgłosić do pokoju nr 1.

— Pan do pracy? — Spytała mnie starsza urzędniczka. We wszystkich urzędach tylko pytają. Pod tym względem przypominają one szkołę. — Jaki ma pan zawód?

— Elektromechanik urządzeń przemysłowych.

Kobieta ruchem głowy wskazała na siedzącego za drugim biurkiem młodego człowieka, który uważnie przeglądał jakieś kartki papieru. — Ten pan ma karty — powiedziała.

— Proszę razem przeglądać. Usiadłem obok chłopaka i zacząłem powoli przerzucać karty. Wybór nie był łatwy. Każda kolejna oferta wydawała mi się coraz bardziej atrakcyjna. W końcu zdecydowałem się na trzy zakłady.

— Pójdę się dowiedzieć czegoś o tych propozycjach — powiedziałem oddając karty.

— Dobrze. Proszę iść do kierownika kadr danego zakładu, a kiedy już pan się zdecyduje, to przyjdzie do nas z powotem i wtedy wydamy skierowanie.

Początkowo chciałem tak zrobić, jak mi radziła urzędniczka, ale kiedy byłem już na dworze, zmieniłem zdanie. Pomyślałem bowiem, że zamiast szukać po Gdańsku tych zakładów, lepiej do nich zadzwonić.

Na poczekaniu aparat telefoniczny był właśnie wolny. Wykreśliłem numer pierwszego, według mnie — najatrakcyjniejszego zakładu. Po krótkiej chwili oczekiwania usłyszałem gruby męski głos: — Przedsiębiorstwo Eksploatacji Rurociągów Naftowych CPN „Przyjaźń”. Słucham.

— Ukończyłem Liceum Zawodowe nr 1 i chciałbym u was pracować — odpowiedziałem, jak zwykle w takich chwilach, trochę głupekowo.

— Elektryk? To dobrze. Potrzebujemy elektryków.

— A na czym ta praca u was polega?

— Kontrola transformatorów i ewentualna ich naprawa.

— Nie jest to więc ciężka praca fizyczna?

— Fizyczna... nie. Praktycznie — żadna.

Odłożyłem słuchawkę na widelki. Czułem, że ta praca będzie mi najbardziej odpowiadała. Nie dzwoniąc już do innych zakładów, z dreszczykiem emocji pobiegłem z powrotem na ul. Piwną.

— Już się zdecydowałem — powiedziałem przedko urzędniczce.

— Dzwonił pan?

— Tak.

Nie pytała więcej, tylko wyciągnęła z szufladki „moje” karty. Szybko wyszukałem tę, na której była wypisana nazwa interesującego mnie zakładu. Po chwili trzymałem w ręku skierowanie do pracy i, rozpromieniony, wyszedłem.

Czwartek, 2 października 1980 r.

Zaraz z rana pojechałem autobusem do Przedsiębiorstwa Eksploatacji Rurociągów Naftowych. Przy bramie otrzymałem tymczasową przepustkę i dokładną informację, gdzie mieści się gabinet kierownika.

— Dzień dobry — powiedziałem na powitanie i wyciągnąłem dłoń, w której trzymałem skierowanie. Kierownik odłożył przeglądanie akta.

— Dzień dobry. Widzę, że pan do pracy. Proszę usiąść. U nas praca ma charakter stały lub w ruchu...

— Mnie chodzi o pracę w ruchu — przerwałem ostro.

Kierownik zaczął mi tłumaczyć, na czym ten rodzaj pracy polega i jakie będę miał obowiązki. Potem dostałem skierowanie na specjalistyczne badania lekarskie i SEP-owskie.

— Dobrze... Tylko jeszcze chciałbym wiedzieć, jakie otrzymam wynagrodzenie.

— Na stażu 13.10 złotego za godzinę pracy; miesięcznie wyjdzie około 3100 złotych.

Kiedy już to wiedziałem, podziękowałem grzecznie, żeby nie zrazić do siebie przyszłego przełożonego, i — po prawie godzinnym oczekiwaniu w zimnie i deszczu na autobus — pojechałem do domu.

Piątek, 3 października 1980 r.

O godzinie 10.00 poszedłem na ul. Jana z Kolna, gdzie znajduje się Wojewódzka Przychodnia Przemysłowa. Odbylem potrzebne badania i otrzymałem zaświadczenie o zdolności do pracy na wysokości. Pozostała mi tylko wizyta u neurologa, który przebywał na zwolnieniu lekarskim.

Sobota, 4 października 1980 r.

Dziś pierwszy dzień mojej klęski. — Potrzebne jest jeszcze zaświadczenie od neurologa — powiedziała lekarka rejonowa, kiedy przyszedłem do niej po orzeczenie.

— Dobrze — zgodziłem się bez słowa protestu.

— Zaraz dam skierowanie na ul. Wałową. Ale tak szczerze mówiąc, to ja bym panu odradzała zatrudnianie się w tym przedsiębiorstwie. Przecież tam jest bardzo ciężka praca: na wysokości i na dworze. A nadchodzi zima. Gdyby pan był zu-

pełnie zdrowy, to co innego, ale przecież pan jest pod stałą kontrolą Akademii Medycznej. Choruje pan na sarkoidozę, a przy tej chorobie powinno się unikać przeziębienia. Niech pan idzie do Akademii. Jeżeli tam lekarze panu pozwolą, to wtedy i ja panu pozwolę pracować w tym przedsiębiorstwie. Zgoda?

Niedziela, 5 października 1980 r.

Niedziela jest dniem odpoczynku, więc rzuciłem w kąt wszelkie podania, dokumenty, zyciorysy, i pojechałem do Nowego Dworu Gdańskiego. Mieszka tam moja dziewczyna.

Poniedziałek, 6 października 1980 r.

Po południu pojechałem do Akademii Medycznej.

— Idę do pracy — powiedziałem pani doktor z przychodni przyszpitalnej.

— Gdzie?

— W Przedsiębiorstwie Eksploatacji Rurociągów Naftowych.

Po krótkim namyśle i obejrzeniu mojego ostatniego zdjęcia rtg. klatki piersiowej zaczęła tłumaczyć: — Pan nie powinien tam pracować, bo jeżeli pan się przezięb... Dam skierowanie na badanie spirometryczne, a potem zobaczymy.

Gdy już wychodziłem z przychodni, poczułem się trochę pokonany i chyba wtedy po raz pierwszy tak naprawdę pomyślałem, że będę musiał zrezygnować z tej pracy. Była to moja klęska. Ale specjalnie nad nią nie rozpacziałem, gdyż doszedłem do wniosku, że ta klęska jest właściwie bez znaczenia, w porównaniu z tymi klęskami, które mnie jeszcze czekają w przyszłości.

Wtorek, 7 października 1980 r.

Jeszcze w sierpniu dostałem list z Urzędu Wojewódzkiego, który

mnie zawiadomił, że 7 października mam się stawić na komisję wojskową. Stawiłem się i — ze względu na moją chorobę — otrzymałem 12-miesięczne odroczenie.

Piątek, 10 października 1980 r.

Pojechałem na ulicę Piwną do Wydziału Zatrudnienia i Spraw Socjalnych. — Interesuje mnie praca w terenie — powiedziałem znajomej urzędniczce.

— Zaraz. Chyba w „Mostostalu” się znajdzie.

Ale nie pojechałem dzisiaj do „Mostostalu”. Trochę z lenistwa, a trochę z chęci odpoczynku. Zdecydowałem się pójść do kina „Lenin-grad” na film Tomasza Żygadły „Cma” z Romanem Wilhelmim w roli głównej.

Sobota, 11 października 1980 r.

Któż załatwia swoje ważne sprawy w ostatni dzień tygodnia?

Poniedziałek, 13 października 1980 r.

Jadąc tramwajem na murze, otaczającym teren Stoczni Gdańskiej im. Lenina, wypisane białą i żółtą farbą postulaty stoczniovców. W końcu jednak mur — z prawdziwym świadectwem wydarzeń sierpniowych i zachodzących w Polsce zmian — się skończył. W „Mostostalu” wjechałem nowoczesną windą na pierwsze piętro i zapukałem do drzwi Działu Kadr. Przedstawi-

łem cel mojej wizyty. Kierownik zaczął dzwonić do różnych wydziałów, w końcu powiedział: — Niech pan przyjdzie jutro o godzinie 8.30.

Czwartek, 16 października 1980 r.

Pierwszy dzień pracy. Obudziłem się już o godz. 5.30. O godz. 7.00 — po uciążliwej jeździe w zatłoczonym tramwaju — byłem na miejscu.

W magazynie wydano mi ubranie robocze, buty i beret na głowę. Kierownik warsztatu zaraz zabrał się do szkolenia mnie z przepisów bhp. Potem poszliśmy do warsztatu, gdzie zapoznał mnie z mistrzem, moim bezpośrednim przełożonym. Mistrz przydzielił mi szafkę, więc przebrałem się w ubranie robocze i wróciłem do warsztatu. Była już godz. 14.30. Żadnej pracy mi nie zlecono, zacząłem pętać się po hali. To się jednak nie spodobało mistrzowi, dał mi więc do ręki miotłę i kazał zamiatać podłogę.

Piątek, 17 października 1980 r.

Mój drugi dzień pracy był nudny. Pierwsze zdanie, jakie usłyszałem z ust pracujących w „Mostostalu” robotników, było takie: — Po co tu przyszedłeś? Do takiego g...

— Dlaczego g...? — zapytałem.

— A ile ty tutaj myślisz zarobić?

— A bo ja wiem. Myślę, że około 3100 złotych.

— Co?! Jeżeli dostaniesz 2900, to będzie bardzo dużo.

Trochę wydłużyła mi się twarz. Zostałem zatrudniony nie w pogotowiu energetycznym, jak sobie tego życzyłem, lecz w Warsztacie samochodowym, a doskonale wiem, jak trzeba tam pracować za pieniądze wyciśnięte z brudu, smaru i oleju.

Sobota, 18 października 1980 r.

W sobotę, dzień ulgowy, pracownik nie jest zdolny maksymalnie

skupić się na pracy, którą wykonuje. Jego myśli krążą przeważnie wokół niedzieli. Wieczór spędziłem przy blaskach kolorowych świateł i ogłuszających dźwiękach muzyki rozrywkowej.

Poniedziałek, 20 października 1980 r.

Jaka szkoda, że nie mogę napisać „nareszcie w pracy!” Dowiedziałem się, że wszyscy moi młodzi współpracownicy chcą po skończeniu szkoły się zwolnić, bo w „Mostostalu” nie widzą żadnych widoków na przyszłość.

Wtorek, 21 października 1980 r.

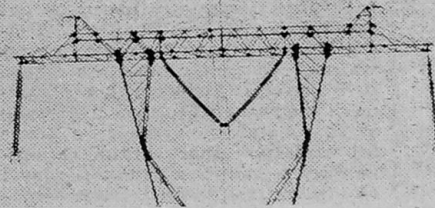
O godz. 7.10 podpisałem listę obecności i wkroczyłem na teren zakładu, który przywitał mnie ciszą. Nikt jeszcze nie pracował. O godz. 7.40 zjawił się mistrz i przystąpił do rozdzielania pracy. Ja z Piotrem miałem wymontować skrzynię biegów z żuka. Od razu wzięliśmy się do roboty. Praca szła nam niezwykle szybko i sprawnie. Główna w tym zasługa Piotra, który lubi żartować.

Piątek, 24 października 1980 r.

Jutro wolna sobota. Wszyscy żyją myślą o dwudniowym wypoczynku. Widziałem kilku starszych mężczyzn, podzielonych na dwie grupy, którzy w przyczepie samochodu popijali szklankami wódkę.

Po śniadaniu, jak zwykle — przed

moja pierwsza praca



pełnie zdrowy, to co innego, ale przecież pan jest pod stałą kontrolą Akademii Medycznej. Choruje pan na sarkoidozę, a przy tej chorobie powinno się unikać przeziębienia. Niech pan idzie do Akademii. Jeżeli tam lekarze panu pozwolą, to wtedy i ja panu pozwolę pracować w tym przedsiębiorstwie. Zgoda?

Niedziela, 5 października 1980 r.

Niedziela jest dniem odpoczynku, więc rzuciłem w kąt wszelkie podania, dokumenty, zyciorysy, i pojechałem do Nowego Dworu Gdańskiego. Mieszka tam moja dziewczyna.

Poniedziałek, 6 października 1980 r.

Po południu pojechałem do Akademii Medycznej.

— Idę do pracy — powiedziałem pani doktor z przychodni przyszpitalnej.

— Gdzie?

— W Przedsiębiorstwie Eksploatacji Rurociągów Naftowych.

Po krótkim namyśle i obejrzeniu mojego ostatniego zdjęcia rtg. klatki piersiowej zaczęła tłumaczyć: — Pan nie powinien tam pracować, bo jeżeli pan się przezięb... Dam skierowanie na badanie spirometryczne, a potem zobaczymy.

Gdy już wychodziłem z przychodni, poczułem się trochę pokonany i chyba wtedy po raz pierwszy tak naprawdę pomyślałem, że będę musiał zrezygnować z tej pracy. Była to moja klęska. Ale specjalnie nad nią nie rozpacziałem, gdyż doszedłem do wniosku, że ta klęska jest właściwie bez znaczenia, w porównaniu z tymi klęskami, które mnie jeszcze czekają w przyszłości.

Wtorek, 7 października 1980 r.

Jeszcze w sierpniu dostałem list z Urzędu Wojewódzkiego, który

mnie zawiadomił, że 7 października mam się stawić na komisję wojskową. Stawiłem się i — ze względu na moją chorobę — otrzymałem 12-miesięczne odroczenie.

Piątek, 10 października 1980 r.

Pojechałem na ulicę Piwną do Wydziału Zatrudnienia i Spraw Socjalnych. — Interesuje mnie praca w terenie — powiedziałem znajomej urzędniczce.

— Zaraz. Chyba w „Mostostalu” się znajdzie.

Ale nie pojechałem dzisiaj do „Mostostalu”. Trochę z lenistwa, a trochę z chęci odpoczynku. Zdecydowałem się pójść do kina „Lenin-grad” na film Tomasza Żygadły „Cma” z Romanem Wilhelmim w roli głównej.

Sobota, 11 października 1980 r.

Któż załatwia swoje ważne sprawy w ostatni dzień tygodnia?

Poniedziałek, 13 października 1980 r.

Jadąc tramwajem na murze, otaczającym teren Stoczni Gdańskiej im. Lenina, wypisane białą i żółtą farbą postulaty stoczniovców. W końcu jednak mur — z prawdziwym świadectwem wydarzeń sierpniowych i zachodzących w Polsce zmian — się skończył. W „Mostostalu” wjechałem nowoczesną windą na pierwsze piętro i zapukałem do drzwi Działu Kadr. Przedstawi-

łem cel mojej wizyty. Kierownik zaczął dzwonić do różnych wydziałów, w końcu powiedział: — Niech pan przyjdzie jutro o godzinie 8.30.

Czwartek, 16 października 1980 r.

Pierwszy dzień pracy. Obudziłem się już o godz. 5.30. O godz. 7.00 — po uciążliwej jeździe w zatłoczonym tramwaju — byłem na miejscu.

W magazynie wydano mi ubranie robocze, buty i beret na głowę. Kierownik warsztatu zaraz zabrał się do szkolenia mnie z przepisów bhp. Potem poszliśmy do warsztatu, gdzie zapoznał mnie z mistrzem, moim bezpośrednim przełożonym. Mistrz przydzielił mi szafkę, więc przebrałem się w ubranie robocze i wróciłem do warsztatu. Była już godz. 14.30. Żadnej pracy mi nie zlecono, zacząłem pętać się po hali. To się jednak nie spodobało mistrzowi, dał mi więc do ręki miotłę i kazał zamiatać podłogę.

Piątek, 17 października 1980 r.

Mój drugi dzień pracy był nudny. Pierwsze zdanie, jakie usłyszałem z ust pracujących w „Mostostalu” robotników, było takie: — Po co tu przyszedłeś? Do takiego g...

— Dlaczego g...? — zapytałem.

— A ile ty tutaj myślisz zarobić?

— A bo ja wiem. Myślę, że około 3100 złotych.

— Co?! Jeżeli dostaniesz 2900, to będzie bardzo dużo.

Trochę wydłużyła mi się twarz. Zostałem zatrudniony nie w pogotowiu energetycznym, jak sobie tego życzyłem, lecz w Warsztacie samochodowym, a doskonale wiem, jak trzeba tam pracować za pieniądze wyciśnięte z brudu, smaru i oleju.

Sobota, 18 października 1980 r.

W sobotę, dzień ulgowy, pracownik nie jest zdolny maksymalnie

wolnym dniem, wszyscy młodzi wzięli się do sprzątania. Starsi mieli już w większości podejrzanie czerwone twarze i niezwykle dużo mówili lub klócili się po kątach. W szatni o mało nie doszło do bójki.

Poniedziałek, 27 października 1980 r.

Dzisiaj wszystko obracało się wokół wizyty komisji behapowców, która miała nastąpić około godz. 11.00. Cała załoga warsztatu samochodowego oczekiwała jej w lekkim napięciu: czy po odejściu behapowców poprawią się warunki pracy?

Przyszli i z założonymi na plecach rękami chodzili po zakładzie w otoczeniu grupy kierowników „Mostostalu”. Przypominało mi to obchód lekarski w Akademii Medycznej, gdzie spędziłem dwa długie miesiące. Trochę pokiwali głowami, trochę nawet zganili kierowników, i poszli.

W szatni — po pracy — toczyła się niezwykle ożywiona dyskusja. Ktoś głośno powiedział: — Jeżeli nie się nie zmieni na lepsze, to będziemy musieli sprowadzić do naszego warsztatu telewizję. Niech wszyscy zobaczą przeciekający dach i dowiedzą się o zimnie, jakie tutaj panuje.

Piątek, 31 października 1980 r.

Dzisiejszy dzień był dla mnie przełomowy: przestałem być w pracy „nowym”. Miano to przeszło na mężczyznę, który przyszedł do nas z „Transbudu”.

„Nowy” okazał się dobrym fachowcem. Na silnikach się znał jak mało kto. Nic też dziwnego, że z miejsca zyskał sobie szacunek i uznanie niemal całej załogi warsztatu samochodowego.

MAREK JÓZEF ŻULAWSKI

obcy

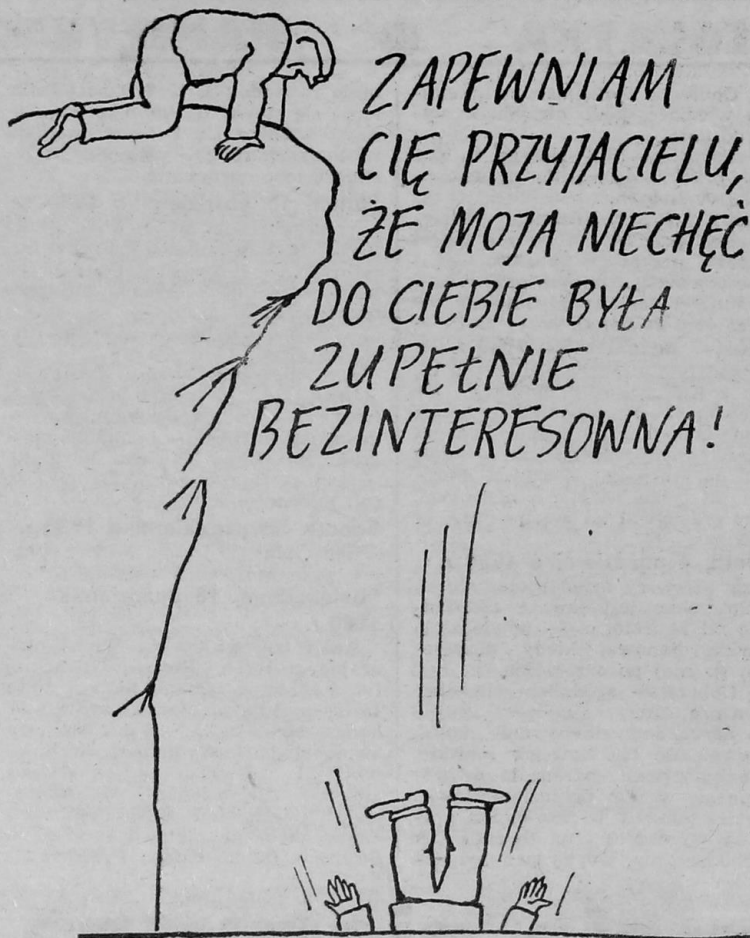
"Kontakty" wystartowały w okresie wyjątkowo szczęśliwym dla polskiego czasopiśmiennictwa: pod koniec cichej fazy kryzysu, z którego w redakcji zdawali sobie na ogół sprawę. I odpowiednio reagowaliśmy. Po kilku miesiącach zaczęły się już czasy „mówienia prawdy, całej prawdy i tylko prawdy”; mówienia i stosownego oceniania. Wiadomo zaś, że tygodnik można sprawdzić i ocenić co najmniej po roku istnienia.

Oczywiście, nie jest zasługą „Kontaktów”, że powstały na przednówku Ciekawych Czasów. Nie jest też wadą zespołu, że czasem tym usiłuje sprostać — stosownie do swoich możliwości i w formach najwłaściwiej temu celowi służących.

Przez kraj przechodzą wielkie fale Gniewu, Rozgoryczenia, Płotki i Wzrastających Żądań Rewindykacyjnych. To wszystko powinno być opisane przez poważną i odważną publicystykę. Ale i felietonista, nie rosząc sobie praw do żadnych uogólnień, może pisać o jednostkowych przejawach pewnych krótkich list. Otrzymałem niedawno krótki list, opatrzone adnotacją naczelnego redaktora: „Proszę się do tego ustosunkować”. Ze względu na rozmiar listu można go zacytować w całości: „Droga Redakcjo! Dobrze się stało, że zrezygnowaliście z usług Pana pisującego pod pseudonimem »Stryjec«. Nie miał on nawet na tyle odwagi, żeby podpisywać się imieniem i nazwiskiem. W Warszawie głęboko zaangażowany w »propagandę sukcesu«, w Łomży wybrał sobie bezpieczną, bzdurną tematykę. I społecznie niepotrzebną. Dziś należy pisać o klasie robotniczej, a nie o herbach. Herbarzami interesują się tylko snobi albo osoby z dawnych klas posiadających. Socjalistyczna gazeta, w dodatku pismo PZPR-u, powinna pisać o problemach aktualnych, a nie o diablach czy herbach, a więc rzecząc nie istniejących. Na takie pisanie szkoda tylko papieru”. List, jak to się zdarza, nie zawiera nazwiska nadawcy. A powinien być podpisany — chociażby pseudonimem „Ponurak”.

Ponurak to człowiek, któremu trzeba tłumaczyć dowcip. Ponurak sądzi, że jedyną formą wyrażania jakiegokolwiek myśli jest wykład lub wyjaśnienie. Ponurak wszystko traktuje dosłownie. A miarą tej dosłowności jest własne rozeznanie, obowiązujące jako powszechny wzorzec. Ponurakto w istocie bezwzględnie tolerancyjny. Przynajmniej dla Swawolnych Dyziów. Ale nie tylko. Serio: ja też nie wierzę w diabły. Gdy jednak Ponurakowi powiem, że najlepszym dowodem na istnienie diabła jest to, że udaje mu się zatrzeć ślady swej egzystencji, a nawet przekonać ludzi o swym nieistnieniu, to Ponurak skwapliwie podchwyci: „A nie mówiłem, że diabeł nie ma!”

Ów stary teologiczny argument, orzekający o przewrotności Kusiciela, pochodzi bodajże od św. Augu-



Rysunek Marka Polańskiego

czasy antyheraldyczne czyli popraw się pan, panie S.!

styna i w sposób metaforyczny wypowiada starą jak świat prawdę, że najgorszym złem jest nieświadomość zła. Tego wszystkiego Ponurak jednak nie zauważa, bo wie swoje: diabłów po prostu nie ma. Nie ma też i herbowej szlachty, a więc pisanie o diablach i herbach to bzdura i strata papieru; że zaś zajmowanie się bzdurami to jednocześnie milczące unikanie rzeczy ważnych, o tym nikogo nie trzeba przekonywać. Podobnie jak o ważności tematu, — któremu na imię: klasa robotnicza. Tylko że o klasie tej napisano sporo bzdur, co najczęściej wynikało z braku wiedzy i stosowania złej perspektywy. Wmawiano np. klasie robotniczej antyinteligencję, a okazało się, że klasa ta upomniła się nawet o interesy inteligencji twórczej. Nikt nigdy u nas, przynajmniej w słowach, nie ośmielił się kwestionować klasy robotniczej jako najważniejszej siły społecznej. Aby jednak tę rolę właściwie określić, trzeba też pisać o

innych klasach i warstwach, ich relacjach wobec klasy robotniczej. Niebagatelnym problemem staje się sprawa dziedzictwa kulturowego, podnoszona już przez Marksa w znany sposób w odniesieniu do proletariatu jako spadkobiercy myśli Immanuela Kanta i całej klasycznej filozofii niemieckiej. Gdy czytamy, tak chętnie dziś przytaczane przez prasę, wypowiedzi robotników, wyłania się z nich pewna zasadnicza wartość, o której istnieniu zapomniano w upośledzeniu rzeczystwami czy domniemanymi sukcesami. Tą wartością jest honor pewnej grupy społecznej. Fałszem byłoby nie wspomnieć o rycersko-szlacheckim pochodzeniu tego pojęcia.

Wreszcie pozostaje prawda dziejów i sam proces powstawania klasy robotniczej. Iluż to drobnych szlachetków w XIX wieku przeniosło się do miast i tam najczęściej pędziło żywot „wysadzonych z siódła”. O takich antykarierach mówią nie tylko powieści Sygietyń-

skiego i Berenta, ale również dziesiątki pamiętników. W niektórych rodzinach robotniczych żywa jest pamięć własnego rodowodu i (cokolwiek zmitologizowane) wspomnienie przeszłości. Pisanie o herbach w takim świetle nie wygląda na znak czy akt wrogości wobec klasy robotniczej, cokolwiek by nie twierdził demagog czy ponuracz. Negatywna płaszczyzna odniesienia, czyli tzw. propaganda sukcesu, miała w istocie wcale nie jedno imię. Obok „rozpisanych na głosy” dyskusji telewizyjnych, z których znaczna jeszcze część przetrwała w formie nieskażonej Nową Myślą, do propagandy sukcesu należało również formalne ujednolicenie określonych środków masowego przekazu. Wszystkie pisma zaczęły wyglądać jednakowo. Realizowały bowiem określony wzorzec prasy.

Zasługą zespołu — składającego „Kontakty” jest to, że od początku nie chciał realizować żadnego wzorca, a pragnął pisma o własnym, odrębnym obliczu, pisma samoswojego, a więc żywego, bo nie upodobiętego do innych. Stąd także „specjalność domu”: „diabełki” czy „herbarz”. Można dyskutować o wadach realizacji; trudno zanegować fakt, że „Kontakty” od początków chciały być inne. Formuła łącząca elementy dokumentacji społecznej (głównie reportażu) z elementami satyry czy żartu stanowi o ich odrębności. Są bowiem pisma satyryczne, jak „Szpilki”, i pisma nastawione na reportaż, np. „Kontrasty”. Nie ma pism informacyjno-reportażowo-satyrycznych. Naturalnie, oprócz „Kontaktów”.

Nie naszą jest rzeczą orzekać, czy ten stop nie podlega korozji; czy ta mieszanka jest wybuchowa, czy tylko łatwo przyswajalna. Od tego są Czytelnicy. Ale pewne rzeczy warto wyjaśnić nawet ponurakom.

P.S. No i poniosło mnie! Zamiast o zacytowanym herbie „Korab”, reprezentowanym przez tyle znakomitych nazwisk, naszkicowałem Mały Manifest Poetyki (i Polityki) Redakcyjnej. Za usprawiedliwienie niech służy mi fakt, że parkinsonowski ton felietonu spowodowany został bodźcem zewnętrznym, czyli listem. A przecież słynne prawo Parkinsona przewiduje, że odpowiednio rozróżniona instytucja nie potrzebuje już żadnych sygnałów zewnętrznych i zajmując się wyłącznie własnymi problemami. Tymczasem „Kontakty” na takie sygnały oczekują, czasem radośnie, a niekiedy masochistycznie na nie reagują i uważają, że nie wszystko jest w porządku, bo za mało dostają krytycznych listów. A ile to pism w minionym dziesięcioleciu prowadziło ów dialog z Czytelnikami, fundując sobie rozkładówki wabiące syrenim śpiewem: „Jak powstał ten numer”. Oczywiście, nie tylko takie numery znamy.

STRYJEC

Od red.: Andrzej Tchórzewski napisał skromnie i w poprzednim felietonie, że jego książka nie są arcydziełami, lecz nam — w toku produkcji pisma — to „nie” gdzieś się zapadziało. Przepraszamy.

miłość

Bywa, że stajemy jak gdyby porażeni wstydem, nie potrafiąc nazwać czegoś, co dotyka nas bardziej od czegośkolwiek innego; co jest wielkie także i w tym sensie, że przerasta możliwości dość ograniczonego, okazuje się, umysłu ludzkiego. Nagła myśl o Bogu: przemądrzały dotąd homo sapiens czuje się raptownie ubogi, mało już rozumny, skromniejszy niż przed chwilą — to już homo religiosus. Dziwna myśl o życiu: ono jest przecież, to życie, bo my sami — żyjąc i będąc — jesteśmy nim w najgłębszym sensie; lecz na czym życie polega, jak je pojąć i zdefiniować? Wreszcie myśl o miłości, może niezbyt częsta — tym bardziej, że kiedy już się narodzi, ginie od razu zawstydzona własną niemocą i przecuciem, że miłości sobą nie obejmie, że jest ta miłość od niej — myśli — większa.

Może jest tak, że Absolut, Życie i Miłość (ale to nie musi się ograniczać do tych akurat trzech cudowności) wypełniają nas sobą aż tak bardzo, że nie ma już miejsca by móc je ująć. Rozumność nasza bez wysiłku nazwie cząstką człowieka, tym bardziej jakąś rzecz, która człowiekiem nie jest. Jak jednak zobaczyć i nazwać siebie w całości, z oddalenia, lecz bez oddalania się od siebie; jak możliwe jest,

by wyjść na chwilę z siebie i spojrzeć na to, co opuszczone, z zewnątrz; jak sprawić, bym mógł patrzeć na siebie całkowicie, nie pomniejszonego o to, co oderwało się, by obserwować? Zdać się, że potrafią to schizofrenicy — lecz przecież to my właśnie czujemy się normalnie i nazywamy tamtych chorymi psychicznie.

Czytam, co napisali o miłości ludzie mądrzy i sprawni w językowym ramieniu; widzę, że nie napisali nic zupełnie — możecie mi wierzyć! Hemingway: miłość jest największym sensem życia; Saganka: miłość to wspaniała choroba — niebezpieczna gdy nieodwzajemniona; Zeromski: miłość rodzi wrażliwość; Prus: są wielkie zbrodnie na świecie, ale największą jest zabić miłość. I tak dalej. Może to wina samego języka, który już jest zbyt płytki, by pomieścić i nakryć sobą fenomen miłości i jej treści (czy miłość ma treść?). Więc dobrze, język. Lecz oni, ci piszący, też nie są zupełnie bez grzechu, skoro chcą sięgać tam, gdzie nie tylko się nie sięgnie, ale gdzie sięgać nie należy. Językiem, słowami publicznymi i wystarczająco prostymi: mówimy o miłości (nie mówimy nawet: mówić opisać wszystko — oni tym językiem chcą upolować cud, o jakim tylko czytali do tej pory). Oni czytali o słowach jedynie, nie o miłości, o której nie można czytać, no i tak też teraz piszą: że to rdzeń, że sens

życia, że jakaś choroba, którą wyleczyć to zbrodnia itp. Zresztą — nie przesadzam. Możliwe, że oni kiedyś też chorowali, że cud przesyłał ich swoim dreszczem — lecz widać zapomnieli, widać było to dawno, jeśli sięgają teraz po pióro. Albo jeszcze inaczej: może pamiętają ten dreszcz i wciąż jeszcze drżą — lecz chcą to schować, zostawić sobie tylko; ci, co czytają, niech myślą o miłości tak, jak im napisałem, czyli niżej zupełnie. No, to jeszcze można by zrozumieć: dzielić się cudem to trochę świętokradztwo. Gdy drzę w środku, nie kaźcie mi być zadowolonym, nie domagajcie się, by drżały mi także palce, kiedy to piśczę, co czytacie właśnie.

Jeden pan, właściwie mężczyzna, powiedział, że miłość to porozumienie dwójga ludzi przy pomocy słów. No, powiedział, mało to są czasami mówili... Ale ten pan powiedział to sobie — chociaż mówił do innych ludzi. Był smutny; chciał, by to było wesołe i chciał się śmiać nawet, lecz nie było tam śmiechu — pozostał tylko uśmiech: w uśmiechu nigdy nie znajdziecie radości. Gdyby zapytać tego pana — no dobrze, to jest takie porozumienie tylko, ale czy chciałby pan, by było to coś jednak innego? Cudów nie ma, zgoda, lecz czy chciałby pan by były? Ci na „Santa Maria”, z Kolumbem, oni — płynąc i jeszcze wcześniej — także nie wiedzieli, czy istnieje ląd, o jakim już pomyśleli, lecz chcieli

żeby istniał, i w tym sensie oni go trochę wyczarowali. Choć można, rzecz jasna, powiedzieć, że to bzdury, bo ziemia tamta, jeszcze zanim oni do niej... itd. Gdyby więc spytać tego pana, czy chciałby... Lecz czy odważyłby się spytać kochajcego, czy chciałby zobaczyć jesienią las pomalowany na czerwono? Zrobicie to?

Ktoś powiedział, a może to ja tylko tak teraz mówię, że miłość jest rzeczą, jakaś dziwna, jest pomiędzy dwójga ludzi, którzy się kochają. Tylko oni ją widzą — taka ona tajemna i nie do przekazania. Najwyżej do pozazdrośczenia. Słępy — też: tylko oni znają głębiej swej ciemnej tajemnicy. Lecz nikt im nie chce jej wydrzeć.

Niemoc języka. Ta niemoc nie była kiedyś tak wyraźna. Gdzie to czytaliśmy: poznał ją i poczęła. Cóż za prawdę ujawnia ten omszały język! Poznał ją i poczęła — trzeba się w to wsłuchać troszeczkę. Dziś brakuje nam słów; nie wiemy, jak wyrazić swoją pliwość by niczego z niej nie uronić. Impotencja języka zawieszająca (a ona sobie wisi) między knajackim „różniem” a kulturalnym „współżyciem”; z dwójga złego wybieram to pierwsze, bo słyszę tam jakąś namiętność. „Poznał ją”. Jest więc słowo: miłość jest poznaniem. Jak my się mało znamy!

ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI



Właśnie, co to znaczy być poetą dzisiaj, w naszej rzeczywistości. Jaka jest rola poety, poezji w czasach, kiedy tak często padają gorzkie słowa. Na spotkaniach autorskich padają pytania, czy poeta powinien zajmować się polityką, a jeśli tak to w jakich granicach? Czy takie granice można w ogóle wytyczyć? Poeta nie może być wyznacznikiem życia duchownego naszego społeczeństwa. Jest sprawą oczywistą, że ciągłe dążenie do zaspokajania potrzeb materialnych nie może być treścią naszej egzystencji. Nie można przecież przeoczyć faktu, że potrzeba poezji zjawia się zawsze w chwilach trudnych, w sytuacjach ciężkich, skomplikowanych przeżyciach indywidualnych i zbiorowych.

Postawione pytania są trudne a odpowiedzi jednoznacznych nie ma. Dlatego też Łomżyński Klub Literacki postanowił zwrócić się z nimi do najciekawszych poetów w naszym kraju z prośbą o nadesłanie wypowiedzi na ten temat. Sądzymy, że ta inicjatywa spotka się z żywym zainteresowaniem.

Korzystając z okazji zwracamy się do Czytelników naszej kolumny z prośbą o nadsyłanie uwag i propozycji. Będziemy bardzo zobowiązani za okazaną życzliwość i uwagi krytyczne, służące lepszemu realizacji zamierzonych przez nas celów.

Rozpoczynamy nasz cykl drukiem pierwsza wybitnej poetki polskiej Anny Kamińskiej.



DROGI PANIE

Widzi Pan jak mi się kurczy życie — im bliżej do epitafium. Przesyłam wiersz do proponowanej przez Pana kolumny w „Kontaktach”. Proszę o numer pisma, jeśli się to okaże, bo pismo to jest nieosiągalne (jak i wszystkie inne).

Serdecznie pozdrawiam
Anna Kamińska

Poezja nie ocala

„Czym jest poezja, która nie ocala narodów ani ludzi”
CZESŁAW MIŁOSZ

Poezja nie ocala

nie pociesza

nie jest kraciastą chustką na otarcie łez

nie jest chlebem ani wodą

nie jest domem ani grobem

na rozprostowanie kości

ani snem w którym odbywa się zjazd rodzinny

żywych i umarłych

Nie zastąpi podania ręki

ani uczonego traktatu

ani prawdziwej modlitwy bez słów

nie jest świtem

ani zachodem słońca

ani kołem narysowanym na ziemi

ani wiatrem

ani macierzanką

ani pszczołą

Szkoda że nie jest tym wszystkim

że nie można jej pić z bliskiej dłoni jak ze studni

że nie jest nawet spojrzeniem

listem zaglądającym w oczy

Jest suchym

coraz dokładniej narysowanej punktem

z podręcznika geometrii dla klasy trzeciej

punktem niekiedy podobnym jeszcze do kleksa

lub do bociana z długim dziobem i podkurczoną nogą

z każdym dniem coraz bardziej nagim

i bardziej kanciastym

punktem

uporczywie zbliżającym się do nicości

czasami prawie już idealnie niczym

naprawdę czystym środkiem samotności

Lecz dotkniesz

a wybuchnie nagle

całym światem jak płaczem

Debiut książkowy — „Wychowanie” 1949. Do dziś wydała 17 tomów poezji, wśród nich: „Odwołanie mitu” — 1967, „Wygnanie” — 1970, „Herody” — 1972, „Rekopis znaleziony we śnie” — 1978.

Zajmuje się również eseistyką, przekładami i literaturą dla dzieci (A.K.).

dzwonić na trwogę

Mam dużo pokory wobec utworów literackich, w których zawarta treść jest ciągle aktualna. Myślę, że były one pisane z wewnętrznej potrzeby. I może właśnie dlatego, chociaż najczęściej niedostrzegane i niedoceniane przez współczesnych, wcześniej czy później torują sobie triumfalną drogę do czytelnika. A to twórcza za nieufność wobec swoich dzieł płaci zawsze bardzo wiele. W przypadku Stanisławy Przybyszewskiej cena ta była zbyt wysoka. Jej utwory doczekały się dopiero w ostatnim dziesięcioleciu właściwej oceny. Pisać dzisiaj o autorce „Sprawy Dantona” jest rzeczą niezmiernie ważną. Nie tylko dlatego, że Andrzej Wajda po raz drugi zdecydował się przenieść tę sztukę na scenę, tym razem do Gdańska — miasta, w którym przez tyle lat mieszkiała autorka — które stało się symbolem olbrzymich przemian, jakie dokonują się dzisiaj w naszym społeczeństwie. Ale również, a może przede wszystkim dlatego, że konflikt ukazany w tej sztuce są dzisiaj niezmiernie ważne i aktualne.

Życie Stanisławy Pająkowej-Przybyszewskiej było pasmem tragicznych zdarzeń. Omijały ją chwile szczęścia jak żeglarskie niedobre wyspy. Może dlatego jej twórczość jest tak surowa i bezwzględna wobec niektórych postaw ludzkich, które i dzisiaj znajdujemy w naszym społeczeństwie.

Zostaje wdową mając 24 lata. W swej gdańskiej samotni, baraku przy szkole w samym centrum miasta, poświęca się całkowicie pracy pisarskiej. W ciągu 12 lat trzy razy wyjeżdżała z Gdańska: dwa razy do Poznania w sprawie wystawienia swoich sztuk i raz na Kujawy na pogrzeb swojego ojca.

Stworzyła w tym czasie trzy dramaty, kilkanaście opowiadań i powieści. Za życia doczekała się tylko druku dwóch fragmentów dramatu „Sprawa Dantona”, w „Wiadomościach Literackich”. Dokonano także

dwóch inscenizacji tego dramatu w roku 1931 we Lwowie i w roku 1933 w Warszawie. W jednym z listów pisała: „Pragnę druku i sceny bardziej niż zbawienia duszy”. Nie spełniły się jej oczekiwania. Zmarła w wieku 34 lat w wskutek wyniszczenia organizmu przez skrajną nędzę i używanie narkotyków.

Dzisiaj, gdy wracam do lektury „Sprawy Dantona”, tekst tej jednej z najwybitniejszych sztuk polskich brzmi dla mnie niepokojąco współcześnie. Kiedy jeden z jej bohaterów wypowiada słowa: „Strzeż no ty się przed zbytnią ufnością do ludzi! Teraz musimy podejrzewać wszystkich...” — elektryzuje. Uważam przesłanie akcji tej sztuki dające wizerunek nie tylko tamtej rewolucji, lecz chyba każdej, jak to się dzisiaj modnie nazywa, odnowy społecznej.

Pozostanie dla nas zawsze zagadką, jak Stanisława Przybyszewska, która wybrała samotność, dysponując tylko sumą własnych doświadczeń doszła do tak olbrzymiej wiedzy o rewolucji. Ten wielki dramat o paroksyzmie dziejowym napisała przecież kobieta o kruchej i delikatnej strukturze psychicznej! Być może rozwiązania tej zagadki należy szukać w jej ocenie lektury gazet, kto wie czy nie aktualnej i dzisiaj.

W jednym ze swoich listów pisała: „Naprawdę trzeba temu czytelnikowi gazet bezustannie dzwonić na trwogę, zamiast go kłamstwami i przemilczaniem uspokajać, trzeba zamykać go ciągłym, niezmordowanym tocsin, zmusić go, aby się dowiedział — nim się zacznie wymagać, aby reagował. Żyjemy w wieku potwornym na świecie potwornym, samymi potworami będąc. Zło w niemożliwie wysokim natężeniu rozrasta się wszędzie. Uciec przed nim nie można. Więc pozostaje nam albo spokojnie patrzeć i zidiocieć, bo widok nad siły, albo walczyć. Sku-

pieć całą treść życia w siłę ciosu”. Ten fragment pochodzi z listu napisanego do Antoniego Słonimskiego z dnia 27 sierpnia 1927 roku.

Kiedy dzisiaj czytam w drugim akcie sztuki kwestię wypowiedzianą przez Dantona: „Trzeba osunąć poziom rewolucji do poziomu natury ludzkiej. Złagodzić żądania — do możliwości”, muszę zamyślić się nad tym, do czego zmierza nasz kraj? W jakim stopniu żądania mogą natrafić na barierę możliwości.

Lektura tej sztuki jest potężną lekcją historii — lekcją tragiczną, powtarzającą się ciągle od nowa, bowiem zapomina się zawsze o podstawowych prawach rządzących rozwojem społeczeństwa.

Stanisława Przybyszewska widziała rewolucję francuską jako wyraz walki o postęp ludzkości. Był to co prawda skok w piekło i w mę-

kę, ale skok konieczny. Takie pojmowanie tych dziejów sprawiło, że portrety osób występujących w tym dramacie nie są tylko kreacjami literackimi. Rewolucja określiła ich działanie — określiła ich racje. Wszystkie przecież persony dramatu to ludzie żywi, z konkretnymi nazwiskami, życiorysem politycznym i znanym nam dziś sposobie działania.

Rozmyślałam nad tym tekstem. Nie jest dla mnie tak ważny fakt, że najnowsza wiedza historyczna potwierdza przedstawiony przez Przybyszewską mechanizm walki dwóch pierwszoplanowych bohaterów. Szukam tam raczej odniesienia do naszej współczesności. I trudno mi oprzeć się wrażeniu, że napisana przed prawie półwieczem sztuka, stanowi dzisiaj swoisty komentarz do wydarzeń gdańskich i najistotniejszych problemów naszego życia społeczno-politycznego.

JAN KULKA

Rysunek Iwony Sielskiej



sport

na miarę możliwości

Henryk Trojanowski, wiceprezes Wojewódzkiej Federacji Sportu w Łomży, o „Orle” Kolno ma opinię pozytywną. Twierdzi, że jest to jeden z nielicznych, dobrze zorganizowanych klubów sportowych województwa.

W siedzibie klubu, mieszczącej się w gmachu Urzędu Miasta i Gminy w Kolnie, trafiłem akurat na rozmowę dwóch etatowych pracowników „Orla” z trzema młodymi zawodnikami sekcji kolarskiej. Jak zorientowałem się, chodziło o rozliczenie ich z pobranego sprzętu. Zawodnicy wyrazili bowiem nieodpartą chęć reprezentowania barw stołecznego „Poloneza”, potwierdzoną mocno oficjalnym pismem warszawskiego klubu. Czym — nieoficjalnie, może pozostawać już tylko w sferze domysłów. Dowiedziałem się, że Jerzy Baczewski już od pewnego czasu interesuje się osobie Ryszard Szurkowski. Być może zresztą i na pozostałych dwóch zawodników, Andrzeja Filipkowskiego i Kazimierza Niedbałę, działa też tylko magia nazwiska wielkiego kolarza. I to jest bardzo prawdopodobne. Zresztą, czy można im się dziwić. Z takiego założenia wychodzą także działacze „Orla”, zdając sobie sprawę, że lepsze warunki do rozwijania swoich talentów będą chłopcy mieli w Warszawie. Wiceprezes „Orla”, Ryszard Kiełczewski, stwierdza, że tu, na miejscu, nie ma warunków do rozwijania sportu wyczynowego na większą skalę.

Sprawy finansowe, będące piętą achillesową większość klubów w Polsce, w Kolnie nie są największym problemem. Finansowo klub stoi nieźle. Oprócz pomocy Wojewódzkiej Federacji Sportu, działacze „Orla” potrafili zaskarbić sobie przychylność zakładów pracy. Fakt godny podkreślenia, bo współpraca klubu z zakładami jest naprawdę wzorowa. GS „Samopomoc Chłopska”, Fabryka Przychodów i Uchwyty, Zakład Mleczarski, Bank Spółdzielczy, oprócz dotacji w żywej gotówce, pomagają (chętnie i bez oporów) w transporcie i zakupie dla klubu sprzętu sportowego. Finansują również organizowane przez klub imprezy. Największej pomocy udziela klubowi naczelnik Urzędu Miasta i Gminy w Kolnie. Kwoty nie zdradzę, chociaż to żadna tajemnica, ale mam na względzie zdrowie działaczy innych klubów i organizacji sportowych, którym administracja miejska, zamiast pomocy, pokazuje figę.

Sukces hossy finansowej „Orla” tkwi w tym, że zanim klubowi działacze coś zażądata, oferują coś w zamian. Stało się dobrą tradycją w Kolnie, że klub jest organizatorem turniejów tenisa stołowego i ziemnego, piłki nożnej i siatkowej, tur-

niejów szachowych, zawodów lekkoatletycznych i imprez zimowych dla zakładów pracy i instytucji. Okazuje się jednak, że pieniądze to nie wszystko. Sen z oczu działaczom klubu spędza nie najlepsza współpraca ze szkołami. Tymczasem, iż część szkoleniowców zatrudnionych w klubie to właśnie nauczyciele. Co najwyżej konflikty mają łagodniejszy przebieg. A trzeba powiedzieć, że zawodnicy szkoleni w sekcjach piłki nożnej i siatkowej, tenisa stołowego oraz kolarstwa i biathlonu to w większości uczniowie kolneńskich szkół. Faktu tego zdaje się jednak nie bardzo dostrzegać administracja szkolna.

Pracą z uczniami zajmuje się dziewięciu szkoleniowców. Niestety, nie jest im dane na ogół zbieranie owoców swoich zabiegów. Bardzo często, już po ukończeniu nauki w szkole podstawowej, młodzież z Kolna wyjeżdża, tak jak wspomniani kolarze, do Warszawy, albo piłkarze ręczni do Plocka lub Łodzi. Nic się na to nie da poradzić, bo możliwości dalszej nauki w Kolnie są ograniczone do ogólniaka i szkoły zawodowej. Wpływa to na poziom wyszkolenia kolneńskich sportowców. Tę teorię zdaje się potwierdzać przykład piłkarzy nie mogących od kilku już sezonów zdobyć awansu do klasy okręgowej. A przecież były czasy, gdy piłkarze „Orla” na swoim boisku rzadko przegrywali.

W klubie pracuje pięć sekcji. Jak na możliwości sześciotysięcznego Kolna — może zbyt dużo. Wszyscy zatrudnieni w klubie szkoleniowcy to instruktorzy pracujący na półetat. A w Kolnie jest sporo zdolnej i nie zmanierowanej jeszcze młodzieży. Czy nie lepiej byłoby postawić w tej sytuacji więcej na jedną kartę, a nie dzielić sił i środków na rozproszone cele? I jeszcze jedna rzecz, może drobna, ale przecież wymowna. Pani Halina Wygnał, kierownik stadionu powiedziała, że zawodnicy i działacze klubu również czują się odpowiedzialni za stan płyty boiska i znajdujących się na stadionie urządzeń. Świadczy o tym dobre wzorowy wygląd obiektu. Zresztą, WOSIR nie „gnębi” „Orla” i opłaty pobierane od klubu za świadczone usługi są umiarkowane. Może się więc on czuć na stadionie współgospodarzem. Szkoda, że nie jest to przykład powszechny.

WYMIATAĆ

TURNIEJ „KONTAKTÓW”

tenisiści z Turośli najszybsi

Napływające do redakcji zgłoszenia świadczą o tym, że nasz turniej tenisa stołowego nabiera rumieńców. Jako pierwszy kartę uczestnictwa nadesłał do redakcji Jacek Lorenc, uczeń szkoły Podstawowej nr 2 w Kolnie. Chociaż do upływu terminu zakończenia eliminacji wstępnych jeszcze daleko, otrzymaliśmy już pierwszy protokół — z zakończenia eliminacji wstępnych w Turośli. W eliminacjach (przeprowadzonych przez pana Jerzego Bączka) wzięło udział 18 osób. Awans do dalszej rundy rozgrywek wywalczy-

li uczniowie: Lucyna Cicha, Bogusława Czerwińska, Jolanta Trzcińska, Dariusz Dąbkowski, Andrzej Pianka, Wiesław i Adam Czerwiński, Zbyszek Bączek oraz Karol Piaśnik.

W związku z licznymi zapytaniem chcieliśmy przypomnieć, że szkoły miejskie są tak samo klasyfikowane w turnieju, jak szkoły wiejskie. W losowaniu nagród i upominków będą brały udział jedynie kupony potwierdzone przez opiekuna SKS-u lub innego organizatora eliminacji wstępnych.

„Gazeta Współczesna” i Państwowe Wydawnictwo „Iskry” ogłaszają konkurs na zwierzenie-refleksję ph.

współczesny portret Polaków

Organizatorom chodzi o szczerze i prawdziwe ukazanie miejsca każdego z nas w Polsce dnia dzisiejszego; o odpowiedź na pytanie, jacy jesteśmy i jacy powinniśmy być, by mądrze i dobrze budować nasz wspólny dom, Ojczyznę, a w nim — naszą osobistą i godną pomyślność. Mają to być wypowiedzi bardzo osobiste, odwołujące się do przeżyć własnych, indywidualnych; mają przedstawiać rachunek sumienia własnego oraz precyzować okoliczności, jakie każdego z nas określają na co dzień.

Intencją hasła konkursu „Współczesny portret Polaków” jest uruchomienie zbiorowego myślenia o tym, jaka jest prawda o nas samych, jak widzimy siebie w nowej rzeczywistości, określonej kolejnym robotniczym buntem przeciw wypaczeniom w życiu społecznym oraz początkiem procesu odnowy Rzeczypospolitej. Prace konkursu powinny dać odpowiedź na pytania: Czy prawdziwe są te wyobrażenia i przeświadczenia o charakterologicznych cechach Polaków, które obowiązywały do połowy roku 1980 (np. słomiany ogień, bezinteresowna zawiść, pijactwo, niesprawność organizacyjna, osłabiony „instykt państwowotwórczy”? Jakie trwałe wartości polskiej kultury politycznej (np. parlamentaryzm, tolerancja wyznaniowa) mogą rozwinąć i pogłębiać sylwetkę obywatelską mieszkańca współczesnej Polski, wzbogacić jego kulturę i świadomość społeczną? Jakie cechy, jakie zachowania i jakie rodzaje postępowania musimy preferować w praktyce życia społecznego, politycznego i gospodarczego, byśmy mogli jak najszybciej i jak najskuteczniej pokonać Kzyzys? Jakie wartości przechowywane przez poszczególne klasy, warstwy społeczne i grupy pokoleniowe mogą okazać się najbardziej przydatne w tej pracy, a jakie trzeba odrzucić i wykorzenić? Jak są nasze rodowody? Jakie zdarzenia i procesy kształtowały nas — współczesnych: czy w naszej samoocenie jesteśmy pracowici i dzielni, czy leniwi i mali duchem; myślący i rozumni czy gnuśni i kierujący się chwilowymi emocjami; zdolni rządzić się rozumnie czy zawsze gotowi do ucieczki w świat urojeń? Jakie czynniki czy ułatwienia przesadziły o tym, że tak wiele złych zjawisk rozpleniło się w naszym życiu, które z tak ogromną siłą uderzyły w fundamentalne wartości państwa i narodu? Jakimi tamy trzeba położyć, by korupcja, bezmyślność, kumoterstwo, sobierstwo i pogardliwy stosunek do drugiego człowieka nie mogły więcej zagrozić ni Polakom, ni ich Ojczyźnie?

Prace konkursowe, nie przekraczające 50 stron, nigdzie dotąd nie publikowane, w czytelnym rękopisie bądź maszynopisie, z dokładnym adresem nadawcy i informacjami o wieku, wykształceniu i zawodzie oraz o przynależności do organizacji społecznych, należy nadsyłać do 15 II 1981 r. pod adresem: „Gazeta Współczesna”, 15-950 Białystok, ul. Wesołowskiego 1, z dopiskiem na kopercie „Współczesny portret Polaków”.

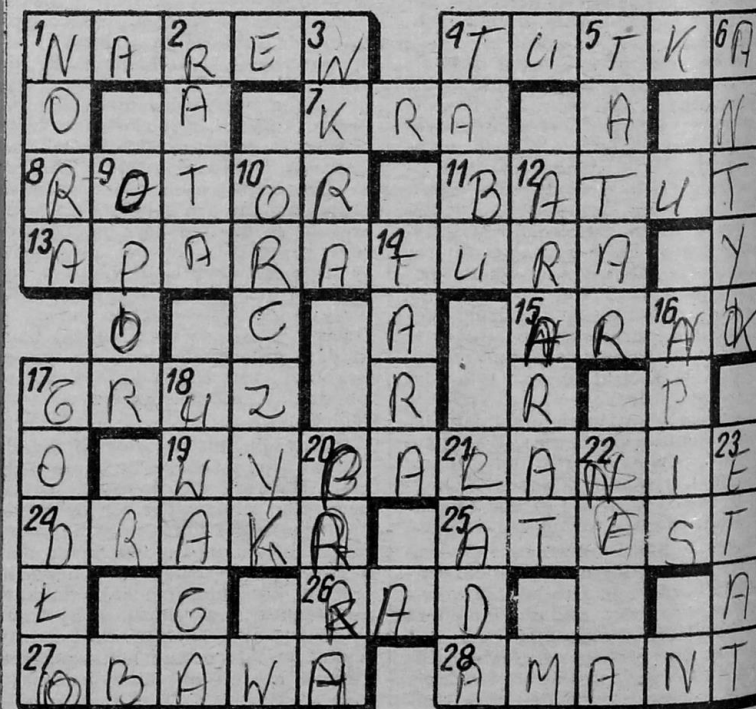
Na autorów najlepszych prac czekają następujące nagrody:

- I — 15 000 złotych,
- II — 10 000 złotych,
- dwie trzecie — 7 000 złotych,
- 5 wyróżnień po — 2 000 złotych.

Ponadto przewiduje się trzy nagrody specjalne wojewodów: białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego za najlepsze prace z tych województw.

Najwartościowsze prace zostaną opublikowane na łamach „Gazety Współczesnej”, a później złożone w książkę, która ukaże się nakładem Państwowego Wydawnictwa „Iskry”. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do niezwracania nadesłanych prac, ich pierwodruku oraz innego podziału nagród.

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 1) Przepląta przez Łomżę; 2) Profesor znany z serialu telewizyjnego, bohater Szaniawskiego; 3) Na wodzie po mrozach; 4) Wirnik; 5) Przyszłość sportowców dwiczeń gimnastycznych; 6) Może być nagłaśniająca; 7) Trunek alkoholowy; 8) Pozostaje po rozbiorze budynku; 9) Nadaje glinianemu garnkowi polewe; 10) Róża; 11) Dokument wysokiej jakości produktu; 12) Pierwiastek radioaktywny; 13) Niekopki, lęk; 14) Typ aktora filmowego;

PIONOWO: 1) Mieszkanie lisa lub dramat Ibsena; 2) Słota części długu; 3) Główna rzeka woj. ciechanowskiego; 4) Coś zakazanego; 5) Nie dla jarosza; 6) Styl retro daje mu wartości; 7) Mierzy się go w omach; 8) Między plugiem a koniem; 9) Znaną koniak radziecki lub drużyna piłkarska z Tiblisi; 10) Kiedyś niezbędna dla pracy; 11) „Bycze” bóstwo; 12) Symbol, znak; 13) W dzienniczku niesfornego ucznia; 14) Ciecz w stanie lotnym; 15) Do wykładania towaru w sklepie; 16) Rodzaj sieci; 17) Posada, stanowisko pracy.

Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać na adres: ul. Sadowa 10, 15-400 Łomża, w terminie do dnia 13 grudnia 1980 r.

KONTAKTY

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 25 listopada na styczeń, I kwartał i półrocze roku następnego i na cały rok następny; do dnia 10 września poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalna 104 zł, półroczna 208 zł, roczna 312 zł. Jednostki godz. spłaty: 100% w całości, 50% w dwóch ratach. Prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch” w miejscowościach, w których nie ma Oddziału, w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Pras i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-580 Warszawa, konto NRP XV Oddział w Warszawie, nr 1158-20043-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50%, dla zleceniodawców indywidualnych i o 100%, dla zakładów pracy.

4.12.1980

TV 10.12.1980

4 GRUDNIA 1980 r.

PROGRAM I
 6.00. TTR, RTSS — matematyka, sem. I.
 6.30. TTR, RTSS — biologia, sem. I.
 8.10. Przysposobienie obronne, kl. VIII—I.

10.00. Praca — technika, kl. II.
 11.00. Język polski, kl. VIII.
 11.55. Nauka o człowieku, kl. VIII.
 12.50. „Czy rośliny czują?” — film o-
 wiutowy dla szkół.
 13.30. TTR, RTSS — matematyka, sem.

14.00. TTR — uprawa roślin, sem. III.
 14.25. Turniej Zastępów.
 15.00. Dziennik Telewizyjny.
 16.15. Czwartek TDC — „O mnie, o To-
 nie, o nas” oraz „Był sobie człowiek”.
 17.30. Magazyna motoryzacyjny.
 18.00. Telewizja Młodych — Studio Ra-

mek.
 18.25. Magazyn lotniczy.
 18.50. Dobranoc.
 19.00. Sonda — „Lepszy rydz niż nie”.
 19.15. Dziennik Telewizyjny.
 19.30. Wieczór poezji Jarosława Iwasz-

ewicza.
 20.10. „Aniolki Charliego”.
 21.05. „Pegaz”.
 21.55. Dziennik Telewizyjny.
 22.40. „Mózg” — „Tajemnice snu”.
PROGRAM II

10.00. Popołudnie Przygody i Podróży.
 11.35. „Mysli twoje śnią zaczynam” —
 recital Haliny Frackowiak.
 12.00. „Mózg” — „Tajemnice snu”.
 12.30. Studio Kwadrans.
 13.35. Język rosyjski, lekcja 9.

14.25. Język francuski, lekcja 9.
 15.00. Turystyka i wypoczynek.
 16.00. Popołudnie Przygody i Podróży.
 17.30. Dziennik Telewizyjny.
 18.30. NURT — elementy wiedzy o sztuce.

19.40. NURT — pedagogika.
 21.10. NURT — matematyka.
 21.40. 24 Godziny.
 21.50. Wieczór Filmowy: „Czekanie” w
 reż. Antoniego Halora i „Drogi Panie
 Gable” w reż. Nicholasa L. Noxona.
 23.00. Kłaps.
 23.30. Język rosyjski, lekcja 9.

5 GRUDNIA 1980 r.
PROGRAM I
 6.00. TTR, RTSS — matematyka, sem.
 6.30. TTR — uprawa roślin, sem. III.
 8.00. Barborkowe święto, kl. III.
 11.00. „Też potrafię”, kl. I—II.
 12.50. Geografia, kl. VIII.
 13.30. TTR — uprawa roślin, sem. I.
 14.00. TTR — mechanizacja rolnictwa,
 sem. I.

15.15. Dziennik Telewizyjny.
 16.30. „Piątek z Pankracym”.
 16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
 17.20. „Gieda”.
 17.40. „Tajemnice Enigmy” (4).
 18.40. Rolnicze rozmowy.
 18.50. Dobranoc.
 19.00. Turniej Reporterów.
 19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Program rozrywkowy.
 21.10. Listy o gospodarce.
 21.50. „Mysli twoje śnią zaczynam” —
 recital Haliny Frackowiak.
 22.15. Dziennik Telewizyjny.
 23.30. „Kiedy się ze mną podzieliś?” w
 reż. Ryszarda Bugajskiego.

PROGRAM II
 10.00. „Siedemnaście mgieł wiosny”
 (6).
 11.20. „Tajemnice Enigmy” (4).
 12.20. Listy o gospodarce.
 13.00. Język francuski, lekcja 3.
 13.30. Język rosyjski, lekcja 9.
 17.05. Kino TDC: „Dick Turpin” — „E-
 kstra życia”.
 17.30. „90 minut z muzyką”.
 19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.15. „Konstancja wychodzi w morze”
 (4).
 21.15. 24 Godziny.
 21.25. Finał Pucharu Davisa: CSRS—
 Włochy.
 22.50. Studio Kwadrans.
 23.10. Język francuski, lekcja 9.

6 GRUDNIA 1980 r.
PROGRAM I
 6.00. TTR — uprawa roślin, sem. I.
 6.30. TTR — mechanizacja rolnictwa,
 sem. I.
 7.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. III.
 7.30. TTR — mechanizacja rolnictwa,
 sem. III.
 9.00. Wojskowy film dokumentalny.
 9.30. Poranek z kulturą.
 11.00. Człowiek, Ziemia, Kosmos.
 11.30. Dziennik Telewizyjny.
 11.50. STUDIO 2.

PROGRAM II
 14.30. „Leonid Kogan” — film o skrzyp-
 ku radzieckim.
 15.40. „Uśmiech spod parasola”.
 16.10. „Holendrzy walczą z morzem” —
 film dokumentalny.
 17.05. „Dixieland z Australii”.
 17.45. „Siedemnaście mgieł wiosny”
 (6).
 19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Finał Pucharu Davisa: CSRS—
 Włochy.
 21.15. Teatrzyk Nonsensacji — „Miko-
 łaj”, scenariusz i reżyseria Jacka Ho-
 bensee.
 21.30. „Neoton Familia” — koncert wę-
 gierskiej grupy dyskotekowej.
 22.05. „Sprawa życia i śmierci” — an-
 gielski film kryminalny.
 23.35. Poezji recytacja wiersze — Bole-
 sław Taborski.

7 GRUDNIA 1980 r.
NIEDZIELA
PROGRAM I
 6.25. TTR — hodowla zwierząt, sem. III.
 6.55. TTR — mechanizacja rolnictwa,
 sem. III.
 7.25. TTR, RTSS — nasze spotkania.
 7.45. Nowocześnieść w domu i zagrodzie.
 8.15. Emerytura dla rolników.
 8.25. „Telewizjada”.
 8.50. Teleranek, m.in. „Niedźwiedź pa-
 ra Adamsa”.
 10.20. Antena.
 10.45. Reportaż filmowy.
 11.10. Piotr Czajkowski — IV Symfonia.
 11.55. Dziennik Telewizyjny.
 12.15. „Las dla nas”.
 12.45. „Stonecznik” — baśń (teatr „Gro-
 teska”).
 13.25. „Piórkami i węglem”.

10.12.1980

13.50. Telewizyjny Koncert Zyczeń Mu-
 zyki Poważnej.
 14.50. „Pół-Jankes” — reportaż filmo-
 wy.
 15.05. „Nie mogę żyć bez muzyki” —
 komedia węgierska.
 16.30. Filmowa opowieść o Hawanie.
 16.55. „Muzyka Młodego Ekranu” —
 program estradowy.
 17.40. „W świecie dzikich zwierząt” —
 „Sokół i jastrząb”.
 18.05. Tele-Echo.
 19.05. Wieczorynka.
 19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. „Henryk IV — Król Francji” (5).
 21.10. Sportowa Niedziela.
 21.40. „Z muzyką przez lata” (6).
 22.25. Teatr Telewizji — Konstanty II-
 defons Galezyski: „Bal u Salomona”.

PROGRAM II
 9.05. Tylko dla kibiców.
 10.00. „Żołnierska lira”.
 10.25. „Tajemnice Enigmy” (4).
 11.25. Przeboje tygodnia.
 12.15. „Życie na Ziemi” (10) — „Wzór
 i modyfikacje”.
 13.10. W Starym Kinie — Flip i Flap.
 14.25. Wielka Gra.
 15.20. Popołudnie Fauny i Flory.
 16.10. Nagrywa Zbigniew Namysłowski.
 16.50. „Jak w Kinie” — jugosłowiańska
 komedia filmowa.

17.35. Teatr Telewizji — Erskine Cald-
 well: „Ziemia tragiczna” w reż. Janusza
 Zaorskiego.
 19.10. Nagrodzone na Festiwalu.
 19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Finał Pucharu Davisa.
 21.10. Śpiewa Ewa Bem.
 21.40. Filmy o sztuce.
 22.25. „Party u Frankenstein” — pro-
 gram rozrywkowy.

PONIEDZIAŁEK 11 GRUDNIA 1980 r.
PROGRAM I
 13.30. TTR — fizyka.
 14.00. TTR — chemia.
 15.20. NURT — psychologia.
 16.15. Dziennik Telewizyjny.
 16.30. Zwierzęcin.
 16.55. Klinika Zdrowego Człowieka.
 17.15. „Arsen Lupin” — „Podwójna gra”.
 18.50. Dobranoc.
 19.00. Echo stadionów.
 19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Teatr Telewizji — Erskine Cald-
 well: „Ziemia tragiczna”.
 21.40. Horyzont.
 22.10. Dziennik Telewizyjny.
 22.25. „50 lat z Lotem” — program roz-
 rywkowy.

PROGRAM II
 10.00. „Próba ognia” — film obyczaj-
 owy TVP.
 11.15. Klinika Zdrowego Człowieka.
 11.35. „50 lat z Lotem”.
 12.00. Studio Bis.
 16.05. Język niemiecki, lekcja 10.
 16.30. Język angielski, lekcja 2.
 17.00. Studio Bis.
 22.00. „Próba ognia” — film obyczaj-
 owy TVP.
 23.10. Język niemiecki, lekcja 10.

WTOREK 12 GRUDNIA 1980 r.
PROGRAM I
 6.00. TTR — fizyka.
 6.30. TTR — chemia.
 9.00. Język polski, kl. V.
 9.55. Czerwone, żółte, zielone, kl. I—III.
 13.30. TTR — język polski.
 14.00. TTR — fizyka.
 16.15. Dziennik Telewizyjny.
 16.30. Telewizyjny Klub Seniora.
 16.55. Małe Kino.
 17.00. Eliminacje Mistrzostw Świata w
 piłce nożnej.
 18.40. Polska Kronika Filmowa.
 18.50. Dobranoc.
 19.00. Skarbiec.
 19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. „Syberia”, odc. IV.
 21.35. „Czy możemy się wyżywić”.
 22.10. Dziennik Telewizyjny.
 22.25. Mazurki Henryka Wieniawskiego.

PROGRAM II
 10.00. „Syberia”, odc. IV.
 11.25. Skarbiec.
 11.50. Mazurki Henryka Wieniawskiego.
 12.15. Człowiek i Środowisko.
 15.40. Język angielski, lekcja 10.
 16.10. Język niemiecki, lekcja 10.
 16.35. Kino Telewizji Najmłodszych.
 17.05. Młodzieżowy Magazyn Techniki.
 17.35. „Minał dzień” — melodramat prod.
 ZSRR.

19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Wtorek Melomana.
 21.10. Człowiek i Środowisko.
 21.40. 24 Godziny.
 21.50. „Zawsze teatr”, odc. IV — „Zło-
 ty wiek”.
 22.50. Bez recept.
 23.20. Język angielski, lekcja 3.

3 GRUDNIA 1980 r.
PROGRAM I
 6.00. TTR — język polski.
 6.30. TTR — fizyka.
 9.00. Chemia, kl. VII.
 9.55. Praca — technika, kl. I.
 11.00. Muzyka, kl. I.
 13.30. TTR — matematyka.
 14.00. TTR — biologia.
 15.20. NURT — matematyka.
 16.15. Dziennik Telewizyjny.
 16.30. „Michałki”.
 16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
 17.30. Puchar UEFA.
 19.20. Dobranoc.
 19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Filmoteka Arcydziel: „Pół żartem,
 pół serio” — komedia prod. amerykań-
 skiej.
 22.10. Dziennik Telewizyjny.
 22.25. Trybuna literacka.

PROGRAM II
 10.00. Eliminacje Mistrzostw Świata w
 piłce nożnej.
 11.40. „Marta” — film obyczajowy TV
 NRD.
 15.55. Język angielski, lekcja 3.
 16.25. Język angielski, lekcja 10.
 16.55. Program morski.
 17.25. Guillaume Apollinaire.
 17.30. „Marta” — film obyczajowy TV
 NRD.

19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Ekran reporterów.
 20.40. Pasje Joanny Kulmowej.
 21.10. 24 Godziny.
 21.20. Pegaz Młodych.
 21.50. Recital zespołu „Alibabki”.
 22.10. Ateistyczny świat prof. Krawczuka.
 23.10. Język angielski, lekcja 10.

4 GRUDNIA 1980 r.
PROGRAM I
 6.00. TTR — język polski.
 6.30. TTR — fizyka.
 9.00. Chemia, kl. VII.
 9.55. Praca — technika, kl. I.
 11.00. Muzyka, kl. I.
 13.30. TTR — matematyka.
 14.00. TTR — biologia.
 15.20. NURT — matematyka.
 16.15. Dziennik Telewizyjny.
 16.30. „Michałki”.
 16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
 17.30. Puchar UEFA.
 19.20. Dobranoc.
 19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Filmoteka Arcydziel: „Pół żartem,
 pół serio” — komedia prod. amerykań-
 skiej.
 22.10. Dziennik Telewizyjny.
 22.25. Trybuna literacka.

PROGRAM II
 10.00. Eliminacje Mistrzostw Świata w
 piłce nożnej.
 11.40. „Marta” — film obyczajowy TV
 NRD.
 15.55. Język angielski, lekcja 3.
 16.25. Język angielski, lekcja 10.
 16.55. Program morski.
 17.25. Guillaume Apollinaire.
 17.30. „Marta” — film obyczajowy TV
 NRD.

19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Ekran reporterów.
 20.40. Pasje Joanny Kulmowej.
 21.10. 24 Godziny.
 21.20. Pegaz Młodych.
 21.50. Recital zespołu „Alibabki”.
 22.10. Ateistyczny świat prof. Krawczuka.
 23.10. Język angielski, lekcja 10.

5 GRUDNIA 1980 r.
PROGRAM I
 6.00. TTR — język polski.
 6.30. TTR — fizyka.
 9.00. Chemia, kl. VII.
 9.55. Praca — technika, kl. I.
 11.00. Muzyka, kl. I.
 13.30. TTR — matematyka.
 14.00. TTR — biologia.
 15.20. NURT — matematyka.
 16.15. Dziennik Telewizyjny.
 16.30. „Michałki”.
 16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
 17.30. Puchar UEFA.
 19.20. Dobranoc.
 19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Filmoteka Arcydziel: „Pół żartem,
 pół serio” — komedia prod. amerykań-
 skiej.
 22.10. Dziennik Telewizyjny.
 22.25. Trybuna literacka.

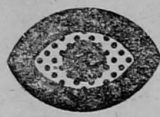
PROGRAM II
 10.00. Eliminacje Mistrzostw Świata w
 piłce nożnej.
 11.40. „Marta” — film obyczajowy TV
 NRD.
 15.55. Język angielski, lekcja 3.
 16.25. Język angielski, lekcja 10.
 16.55. Program morski.
 17.25. Guillaume Apollinaire.
 17.30. „Marta” — film obyczajowy TV
 NRD.

19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Ekran reporterów.
 20.40. Pasje Joanny Kulmowej.
 21.10. 24 Godziny.
 21.20. Pegaz Młodych.
 21.50. Recital zespołu „Alibabki”.
 22.10. Ateistyczny świat prof. Krawczuka.
 23.10. Język angielski, lekcja 10.

6 GRUDNIA 1980 r.
PROGRAM I
 6.00. TTR — język polski.
 6.30. TTR — fizyka.
 9.00. Chemia, kl. VII.
 9.55. Praca — technika, kl. I.
 11.00. Muzyka, kl. I.
 13.30. TTR — matematyka.
 14.00. TTR — biologia.
 15.20. NURT — matematyka.
 16.15. Dziennik Telewizyjny.
 16.30. „Michałki”.
 16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
 17.30. Puchar UEFA.
 19.20. Dobranoc.
 19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Filmoteka Arcydziel: „Pół żartem,
 pół serio” — komedia prod. amerykań-
 skiej.
 22.10. Dziennik Telewizyjny.
 22.25. Trybuna literacka.

PROGRAM II
 10.00. Eliminacje Mistrzostw Świata w
 piłce nożnej.
 11.40. „Marta” — film obyczajowy TV
 NRD.
 15.55. Język angielski, lekcja 3.
 16.25. Język angielski, lekcja 10.
 16.55. Program morski.
 17.25. Guillaume Apollinaire.
 17.30. „Marta” — film obyczajowy TV
 NRD.

19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.10. Ekran reporterów.
 20.40. Pasje Joanny Kulmowej.
 21.10. 24 Godziny.
 21.20. Pegaz Młodych.
 21.50. Recital zespołu „Alibabki”.
 22.10. Ateistyczny świat prof. Krawczuka.
 23.10. Język angielski, lekcja 10.



Łomża, kino „Październik”: 4—6 XII —
 „Barwy mojej młodości”, prod. jap. (od
 lat 15); 7—10 XII — „Powrót do domu”,
 prod. USA (od lat 15).

Ciechanów, kino „Meteo”: 4—5 XII —
 „Ostatni pociąg z Gun Hill”, prod.
 USA (od lat 15); 6—7 XII — „Sto koni
 do stu brzegów”, prod. pol. (od lat 15);
 9—10 XII — „Śmierć człowieka skorup-
 powanego”, prod. franc. (od lat 18).
 Grajewo, kino „Relaks”: 4 XII — „Spot-
 kanie na Atlantyku”, prod. pol. (od lat
 15); 5—7 XII — „Proces poszlakowy”,
 prod. jap. (od lat 18); 8—9 XII — „Con-
 stans”, prod. pol. (od lat 15); 10—12 XII
 — „Drzewo na saboty”, prod. wlos. (od
 lat 15).

Jdwabne, kino „Oaza”: 4 XII — „Raf-
 ferty i dziewczyny”, prod. USA (od lat
 15); 6—7 XII — „Kronika gorącego lata”,
 prod. CSRS (od lat 15); 10—11 XII —



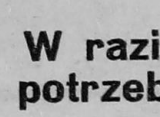
Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzy-
 wie Koło 1, czynne codziennie (z wyjąt-
 kiem poniedziałków i dni poświęce-
 nych); we wtorki i czwartki w godz.
 11.00—18.00, w środy, piątki i soboty
 w godz. 10.00—15.00, w niedziele w godz.
 11.00—15.00. Wystawy: „Rzeźba i tkanina
 Kurpiowskiej Puszczy Zielonej” — eks-
 pozycja tkanin dekoracyjnych i rzeźb z
 okresu od II połowy XIX wieku do
 współczesności, a także dekoracyjnych
 wyrobów snycerskich i fragmentów tkan-
 in ubraniowych, ze zbiorów własnych
 i Muzeum Okręgowego w Ostrołęce;
 „Bursztyn z Dorzecza Narwi Środkowej”
 — wystawa prezentująca wydobywanie,
 obróbkę oraz wyroby z bursztynu.
 Park Etnograficzny Północno-wschod-
 nego Mazowsza im. Adama Chętnika w



Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci,
 ul. Marii Skłodowskiej-Curie 5 (Szkoła



Wojewódzki Dom Kultury w Łomży:
 Dyskusyjny Klub Filmowy „Tu tu”,
 5 XII, godz. 18.00; „Tylko z nami” — pro-
 gram Estrady bydgoskiej, 6 XII, godz.
 17.00 i 19.00.
 Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kol-



nie: wystawa reprodukcji malarstwa pol-
 skiego XX wieku.
 Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w
 Rajgrodzie: popołudnie dla najmłodszych,
 10 XII, godz. 15.00.

Łomżyńska Orkiestra Kameralna —
 koncert w Grajewie (sala Państwowej
 Szkoły Muzycznej, ul. Świerczewskiego
 5), 5 XII, godz. 15.30 i 17.30. Dyryguje
 Henryk Szewc. Solista: Adam Haftkow-
 ski — skrzypce. W programie — Ludwig
 van Beethoven: uwertura „Prometeusz”;
 Felix Mendelssohn: Koncert skrzypcowy
 E-moll; Franz Schubert: Symfonia h-
 moll (VIII — Niedokończona).

22-44 — dyżurująca apteka, ul. Gieł-
 czynska 1.
 997 — Milicja Obywatelska.
 34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.
 999 — Pogotowie Ratunkowe.
 998 — Straż Pożarna.
 Pogotowie Chirurgiczne, ul. M. Skło-
 dowskiej-Curie 1, czynne całą dobę.

Szczęśliwie kojarzy małżeństwa Biu-
 ro Matrymonialne „Mazury” Olsztyn
 2, skrytka 336.
 Łk 4433-0
 Szlifowanie cylindrów, wałów kor-
 bowych, naprawy główne silników —
 Żuk, Fiat, Syrena, Łomża, Sena-
 torska 53, tel. 22-24, Zakrzewski.
 Łg 3062-0

OGŁOSZENIA DROBNE

WOJEWÓDZKI ZAKŁAD WETERYNARII
 Oddział Terenowy w Łomży
 ogłasza PRZETARG NIEOGRANICZONY na sprzedaż:
 — nadwozia „Wotgi” Gaz 24
 Cena wywoławcza — 37.800 zł.

I przetarg odbędzie się w dniu 19 grudnia 1980 r. o godz. 10 w
 siedzibie Oddziału przy ul. Nowogrodzkiej 160.
 W przypadku niedojścia do skutku I przetargu, II przetarg odbę-
 dzie się tego samego dnia o godz. 11, a cena wywoławcza będzie
 wynosiła 50% ceny I przetargu.

Wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej należy wpłacić do
 kasy Oddziału w Łomży.
 Nadwozie można oglądać w dniu przetargu na placu Oddziału
 w godz. 8—15.
 Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez podania przy-
 czyny.

LK 4947-1

„Wciąż o miłości”, prod. franc. (od lat
 15).
 Kolno, kino „Wrzos”: 4—5 XII — „Każ-
 dy umiera w samotności”, prod. RFN
 (od lat 15); 6—7 XII — „Amator”, prod.
 pol. (od lat 15); 8—10 XII — „Nickelo-
 deon”, prod. ang. (od lat 12).
 Nowogród, kino „Ziemowit”: 6—7 XII —
 „Nagrody i odznaczenia”, prod. pol. (od
 lat 15); 9—10 XII — „Bliskie spotkania
 trzeciego stopnia”, prod. USA (od lat 12).
 Stawiski, kino „Saturn”: 4—5 XII —
 „Powodzenia stary!” prod. franc. (od
 lat 15); 6—7 XII — „Lipcowe spotkanie”,
 prod. CSRS (od lat 15); 9—10 XII — „Ksia-
 że i zebrał”, prod. panam. (od lat 12).
 Wysokie Mazowieckie, kino „Wars”:
 4—5 XII — „Addio, piccola mia”, prod.
 NRD (od lat 15); 6—7 XII — „Dzień Wi-
 sły”, prod. pol. (od lat 15); 9—10 XII —
 „Nasferatu — wampir”, prod. RFN (od
 lat 18).
 Zambrów, kino „Kosmos”: 4 XII —
 „Nasferatu — wampir”, prod. RFN (od
 lat 18); 5—7 XII — „Godziny miłości”,
 prod. szwedz.-norwes. (od lat 15); 8—9 XII —
 „Ukryty w słońcu”, prod. pol. (od
 lat 18); 10—12 XII — „38 stopni”, prod.
 ang. (od lat 12).
 Kirownictwo kin zastrzega możliwość
 zmian programu.

Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjąt-
 kiem poniedziałków i dni poświęce-
 nych) w godz. 9.00—16.00. Wystawy: 1)
 Wnętrze chat, kuźni, olejarni z wypo-
 sążeniem, Izba tkacki-artystki ludowej
 Anny Kordeckiej, śpiżnierek z wystawą
 obrazującą przemiał i przechowywanie
 zbóż, stodoła ze starym, drewnianym
 kłosem i narzędziami bartnymi. 2) W
 Dworcu z Brzozek wystawa archeolo-
 giczna — „Pradzieje Nowogrodu”. 3) W
 chacie z Baranowa wystawa „Adam
 Chętnik — życie i działalność”.

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Klu-
 ka w Ciechanowcu, czynne codziennie
 (z wyjątkiem poniedziałków i dni po-
 święconych) w godz. 8.00—16.00, w nie-
 dziele i święta w godz. 11.00—1

MINI-KABARET **PIEKIEŁKO** PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY **DIABELSKIE** **OBRACHUNKI**

Cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Biebrzański, Bużański, Dojliski i Narwiański, w dalszym ciągu siedzą w bagnie. Jest to bowiem podmokła dolina Biebrzy w okolicach Goniądza. Daje się wyczuć atmosferę wyczekiwania. I słusznie zresztą, ponieważ ni stąd, ni zowąd, jakby znikąd, pojawił się wśród nich piąty diabełek. Przedstawił się jako Uzdrowiciel, przez nikogo nie przesłany, stanął na największej kępie i przemówił:

UZDROWICIEL: Przybyłem tu do was ex abrupto, jak ten Aryman, albowiem nie tylko errare humanum est. Diabłom też się to zdarza. Zastanawiam się, jak by tu schön ist anders. (zastanawia się; po chwili) Asocjacja deliberacji prowadzi do koherentnej konwergencji.

BIEBRZAŃSKI: Słucham, proszę???

UZDROWICIEL: Tak jest! Determinacja syndromu synkretyzmu ideologicznego jest zaprzeczeniem ethosu morfologii formy polifagów.

BUŻAŃSKI: O, kurcza noga.

DOJLIŃSKI: Zgadza się. Właśnie nad tym myślałem i mniej więcej moje rozumowanie opiera się na zbliżonych przesłankach.

NARWIAŃSKI: Moje też, aczkolwiek, prawdę mówiąc, mam nieco inne zdanie.

UZDROWICIEL: Nasze środowisko podlega nieustannej erozji struktur poziomych w konfiguracji pionowej. Przepływ informacji charakteryzuje się napływem stagnacji. Dlatego nasz konwentykiel grawituje w stronę sytuacji, w której, jak mawia francuska dyplomacja, mon verre n'est pas grand mais je bois mon verre, co w tłumaczeniu znaczy, że: szklanka, z której piję, nie jest duża, ale za to własna.

BIEBRZAŃSKI: No, nareszcie wszystko zrozumiałem. Jeśli chodzi o mnie, to ja mogę nawet bez szklanki.

DOJLIŃSKI: W dalszym ciągu niczego nie rozumiecie, kolego. Wyżej wzmiankowa szklanka stanowi przenośnię prawie literacką.

UZDROWICIEL: Otóż to. Dis aliter visum — bogowie inaczej postawili.

BIEBRZAŃSKI: Zupełnie już zgłupiałem. Najchętniej bym zmałdzał, ale koherencja mojej umysłowości zakłada pewien niedorozwój somatyczny.

NARWIAŃSKI: Może przejdźmy do konkretnych i do konkretnych w dodatku. Uzdrowiciele! mamy ostatnio całą masę, ale zdrowia jakoś specjalnie nie widać. Ja sam np. coraz bardziej zaniemagam. Głowę mam niczym kantalupa, z czego co rusz bywa fupa.

BIEBRZAŃSKI: Koledzy! W ten sposób to my do niczego nie dojdziemy. Potrzebne jest nam konkretne działanie i to od razu. Ja np. mogę rozedrzeć szatę, o! (łapie się za klapę kubraczka i energicznie rozdziera, powodując obnażenie przedniej części diabelskiego cielska. Pozostałe diabły, acz niechętnie, to jednak zdecydowanie, idą w jego ślady i okazuje się, że chociaż ciała mają pojedyncze, to jednak protest jest zbiorowy)

UZDROWICIEL: Dziękuję kolegom za okazane mi poparcie. Wasze bohaterskie, izokefaliczne stawianie czoła przeciwnościom losu skłania mnie ku głębszym refleksjom. Odnoszę wrażenie, że ferret opus — praca wre, he, he. Niech żyje syndrom Ezopa!

DIABŁY: Niech żyje! (tylko jeden Biebrzański jakby milczał)

BIEBRZAŃSKI: (po chwili): A któż to on taki, ten Ezop? Nie wasz kolega czasem?

UZDROWICIEL: Trochę tak, ale był to, szanowny kolego, znany bajkopisarz, na którego doświadczeniach winniśmy się aktualnie opierać. Jego światopogląd, aczkolwiek szafliarystyczny, bliski jest memu sercu nieczym cyklopykliczne nawroty kryzysów, na fali których przyszło mi głos zabierać satanistyczny.

BUŻAŃSKI: Tak czy owak, trzeba nam w dalszym ciągu dyskutować. Diabły, kiwając głowami, kontynuują dyskusję, której ani początku, ani końca nie widać. Robi się coraz ciemniej.

WIESŁAW TOMASZEWSKI



Rysunek Jacka Urbanskiego

WYWARY WSPÓŁCZESNE

Prasa centralna donosi, co łomżyńskiego „Poloneza” łączy ze stołecznym „Europejskim”. Są to: szkło, aluminium, dywany, włoskie kafelki, wysoki standard, jeszcze wyższe ceny i byle jaka obsługa.

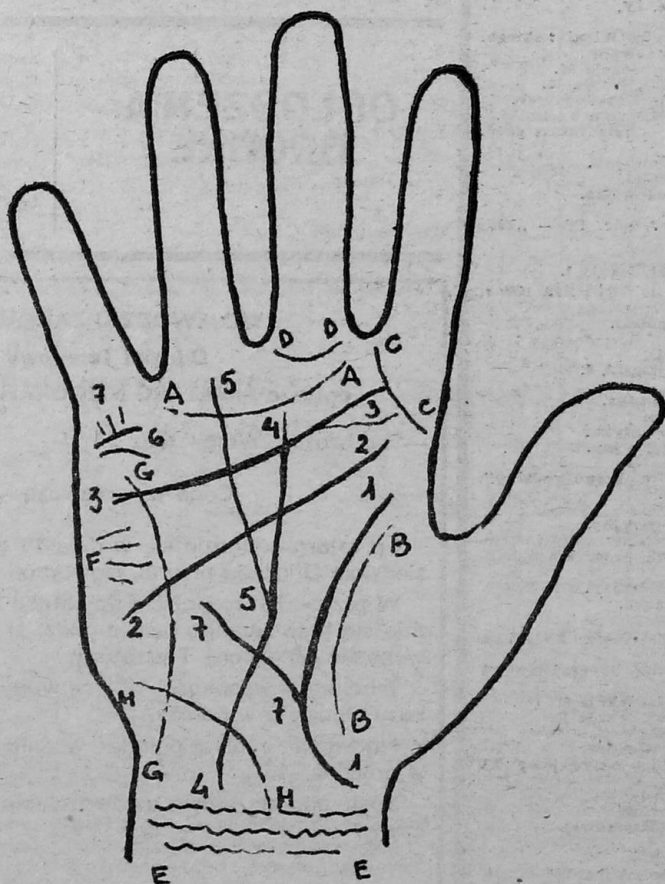
„Tygodnik Kulturalny” informuje, że Piotr Kuncewicz moczy nogi. Jedną w „Kameralnej” na Foksal, drugą w Narwi. Wymienia się innych poetów w rozkroku.

W drugim roku działalności Łomżyńska Orkiestra Kameralna notuje sukces: na koncert sprzedano 53 bilety. Dotychczas sprzedawano 15—30 miejsc.

Henryk Szwedo, dyrektor Orkiestry Kameralnej, dał publicznie wy-

raz zdziwieniu z powodu wyjazdów młodych muzyków do RFN, na francuską Riwierę i do Beneluxu, skąd wracają po paru miesiącach z pustym wnętrzem i pełnym portfelem, a nierzadko we własnym volvo lub BMW. Zdziwienie bierze się stąd, że w Łomży czekała na muzyków: mieszkania oraz wyż. wym. 53 melomanów.

W Rajgrodzie dobudowanie jednej sali i letniego tarasu do reprezentacyjnej restauracji „Jasiewiczanka” powierzono budowniczemu-amatorowi z miejscowej spółdzielni produkcyjnej, który żadnych uprawnień nie miał, nie umiał odczytać projektu, ale odważnie dosiadł spychacza. Szarża na „Jasiewiczankę” skończyła się zawałaniem knajpy oraz interwencją prokuratora, który nie lubi amatorów na ciężkim sprzęcie.



O UROKACH

JAK SOBIE Z NIMI RADZIĆ

Chłopaczka urodzonego nasampierw w koszule matki zawijaj, dziewczuchę — w gacie ojca, aby im w przyszłości powodzenie u płci przeciwnej dobrze służyło. Jeśli powiłaś w czepku, zdejmij go i zasusz, tak jak pepowinę, kiedy odpadnie. Dasz je potem podrostkowi czy podlotce do noszenia przy sobie, co trwale szczęście w życiu im zapewni. Czym prędzej uwiąż noworodkowi czerwoną wstążkę na przegubie lewej rączki, aby go przed urokami chroniła. Kiedy ją sam zdejmiesz, będzie oznaczało, że już przed nimi bezpieczny.

Kędziorków na karczku dziecka nie waz się ciąć nożycami, bo koltuna je nabawisz. Jenó ostrożnie wygryzaj zębami, póki dzieciątku rozek nie stuknie.

Aż do chrztu nie wynos niemowlęcia za próg izby, gdzie złe na nie czyha bezustannie, a przy jego pościeli trzymaj w pobliżu noż ostry, który je przed wszelkim złem obroni.

Ciemniaczko twarde tylko oliwką i ciepłą wodą delikatnie przemywaj, bo gdy je zedrzesz, na pomysł dziecku zaszkodziś i do końca życia za niedojdę uchodzić będzie.

I niech nikomu nie strzeli do głowy mówić do dziecka przed rokiem „zaba”, „zabcia” czy jakoś podobnie, bo okropne brzydactwo z niego wyrośnie. Z chłopakiem jeszcze pół biedy, ale któż na szkaradną dziewczuchę się zlakomi? Chyba że opływałaby w dostatki. A i tak bogactwem szpetoty nie przykryjesz ani odgonisz, bo to nie smarkatość. Te możesz odpędzić, jeśliś będąc w ciąży — niepomna dobrych rad — obtarła co fartuchem. Bierzesz tedy kota do rąk i jego ogonem wycierasz ciekawą nos swego dziecka, a czynisz tak siedmiokrotnie przez siedem dni. Koci ogon możesz zastąpić świeżo z butów wyjmowaną siedmiokrotnie onucą.

Jak już uchronisz dziecko przed zakusami złego do roku, to potem spodziewaj się kłopotów z innej strony. Bo oto masz maleństwo silne, zdrowe, nie smarkate, bez myszek, nie zezowate, czyli ładne, a ludzie tego nie lubią. Zawsze znajdą się złe oczy, które się niby twoim szczęściem zachwyca, a ty masz biedę gotową: dzieciak sztywnieje, sinieje od płaczu i toczy pianę z ust. Sama nie nie zrobisz, musisz szukać drugiej wróżki, która umie urok odczynić. Ona tylko spojrzysz — i już będzie wiedziała, co robić. Powie ci przy tym starą prawdę: łatwiej pięciorko urodzić niż jedno szczęśliwie wychować. (zel)

PATRZĄC NA RĘCE

LINIE ŻYCIA, GŁOWY, SERCA...

Coś w tym jest, bo jeśli rozchylić zaciśniętą piastkę noworodka, to „widać jak na dłoni” wszystkie podstawowe linie, wzgórki i znaki, ale ich rysunek zmienia się w ścisłej zależności od rozwoju i dyspozycji psychicznej dziecka. W czasie omdlenia linie bledną, a po śmierci, gdy ustaje praca mózgu — zanikają zupełnie.

Chiromanci wiedzą, że rysunek linii wiąże się z aktualną kondycją psychiczną i fizyczną, dlatego też z całą pewnością przepowiadają przyszłość na najbliższy rok, najwyżej na lat kilka. U mężczyzny bierze się do badania dłoń prawą, u kobiety — lewą. Mówią one o tym, co będzie. Przeszłość mężczyzny zapisana jest w dłoni lewej, kobiety — w prawej. Jeśli linie i znaki u danej osoby są jednakowe na obu dłoniach, wróży to fortunę, zdrowie i wszelkie powodzenie w życiu prywatnym i publicznym.

Wyróżnia się osiem podstawowych linii ręki: życia (1), głowy (2), serca (3), losu (4), słońca (5), seksu (6), płodności (7) i zdrowia (8), oraz linie drugorzędne: przepaskę Wenerę (A), linię żywotności (B), obrączkę Saturna (C), bransolety (E), linie podróży (F), linię intuicji (G) i via lascivii (H).

POKUSY
 Andrzej Koziary
 pod redakcją
 organ samoistny
 POKUSY